Nr. 12 (1056). Warszawa, dnia 10 (23) Marca 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Mars angielski. — Listy galicyjskie, p. Dalekiego. — Widmo dwu wojen, III, p. H. F. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Rudyard Kipling: Grabarze (dok.), tłom. J. Czekalski. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Wychodźtwo robotnicze, p. P. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Przyrodoznawstwo, p. St. Bouffałła — Odczyty, p. dr. M. B. — LITERATURA I SZTUKA: Z dziejów krytyki polskiej. Julian Klaczko, I, p. P. Chmielowskiego. — Przegląd teatralny, p. Wł. Bukowińskiego. — POEZYE: Ada Negri: Przebudzenie, tłom. Anna Bronisławska. — Na marginesie — Komunikat urzędowy. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

Od Administracyi.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

MARS ANGIELSKI.

Dnia 9 b. m. Izba gmin słuchała długiego wypracowania p. Brodricka, ministra wojny po Lansdownie, któremu w roku przeszłym Salisbury dał w swym gabinecie awans na ministra spraw zagranicznych. Obyczajem angielskim zawiadowca wojskowości jest człowiekiem cywilnym; nie bardzo się na kunszcie zna, ale mówić i pisać o praktycznych jego zastosowaniach do potrzeb Anglii może i umie. Obszerne opus jest składne i jasne. Zaczyna w niem minister od słów podziwu nad wydajnością Anglii i słusznie przy liczbie 140,000 zaciągniętych w roku przeszłym wydaje okrzyk: „pobór fenomenalny.“ Liczba ta uderza jeszcze bardziej, gdy się ją zestawi z siłą mięśniową nieprzyjaciela i z siłą zbrojną samej Anglii niezależnie od poboru i przed nim wystawioną. Owa fenomenalność nie przeszkodziła jednak stwierdzeniu prawdy, że Anglia jest na swoje cele zdobywcze wojskowo za słabą: żadne mocarstwo przy tak rozległem terytoryum i takiej konieczności bronienia tego, co ma, nie obywa się tak szczupłą siłą. Na 1,000 Anglików półtrzecia tylko służy w wojsku. Tak dłużej być nie może.

Powszechna zatem służba wojskowa? Na nią jeszcze nie czas. Muszą się pierwej pojęcia, poczucia i obyczaje narodu zmienić, za systematem powszechności i losowania musi się oświadczyć większość narodu. Trzeba przecież szybko obmyśleć jakie wyjście z wąwozu; trzeba się liczyć z niebezpieczeństwem zawikłań europejskich, a nawet z grozą obcego najazdu. Stosunki międzynarodowe Anglii narzucają w razie konieczności wojny trzymanie nie dwóch, jak dotychczas, ale trzech korpusów zupełnie wolnych, któreby mogły być wyprawione za granicę. Te „stosunki“ w kilka dni później Balfour w Izbie gmin określił „jako umowę zobowiązującą Anglię do poparcia państwa sprzymierzonego.“ Umowa — konwencya, czy traktat — ma wprawdzie na widoku tylko obronę, ale w ciągu takiej wojny — mówił Pierwszy Lord skarbu — zdarzyć się może potrzeba wystąpienia zaczepnie. Uzupełnić można tę ministeryalną szczerość ogólną zasadą dzisiejszej strategii i dzisiejszej polityki, że najlepiej jest bronić się, napadając. Świat jest przecież dość już ucywilizowany, aby się mógł rządzić takiemi zasadami. Kto jest owym sprzymierzeńcem umownym — nad tem dziś łamać sobie głowy nie warto: wystarcza samo przyznanie się choćby do anonymu. Obowiązek ogólny, zasadniczy, z prawa życia i obowiązku bronienia go płynący, stając się tu zobowiązaniem ściśle określonem, z większym jeszcze naciskiem wkłada na Anglię brzemię reformy wojskowej, dość rozległej i głębokiej, aby skuteczną być mogła.

Kraj cały, Wielka Brytania z Irlandyą, podzielony będzie na sześć okręgów wojskowych; jedne trzy będą hodowały owe trzy korpusy dla anonymowego sprzymierzeńca, drugie trzy zajmą się hodowlą milicyi i ochotników. Tamte staną bliżej kanału i morza Niemieckiego: w Aldershot, w dolinie Salisbury i w Irlandyi; te otrzymają kwatery główne w Colchester, York i Edinburgu. Ściągając załogi, powierzając obronę stacyi marynarce, biorąc z Indyj pięć batalionów, można odrazu wojsko regularne powiększyć o 18 batalionów. Zamiast 100 tys. milicyi będzie 150. Do tego 250,000 ochotników i około 35,000 yeomanry w 25 batal., 15 bateryach lekkich i 40 ciężkich. Wogóle do wszelkich broni i autoramentów przybędzie 126,500 ludzi. Zwiększy to wydatek roczny o 2 mil. funtów. Po przeprowadzeniu reformy Anglia będzie miała 680,000 zbrojnych; w armii regularnej bojowej 260 tys., 196 tys. na załogach, 100 tys. na obronę Londynu (ochotn.), 4 tys. w sztabach; pozostałą liczbę zabiorą nowozaciężni, chorzy, urlopowani. Trzeba też po tych materyalnych liczbowych przekształceniach dokonać i umysłowych, zmienić metodę wewnętrzną, wlać nowego ducha w ster — „scentralizować odpowiedzialność, a zdecentralizować władzę.“ Te dwa bieguny logiki ministeryalnej są prawdziwą zagadką. Chodzi zapewne o zostawienie większej swobody w wykonywaniu, a mniejszej w zarządzaniu środków potrzebnych.

Tak czy owak — jarzmo głębiej na kark wtłoczone, militaryzm występuje do walki najpierw z cywilizmem, a potem i z konstytucyonalizmem. Już w krótkim rzucie na wiek ubiegły i w uwagach nad panowaniem królowej Wiktoryi — wskazano tę czekającą Anglię konieczność. Za wielkość płacić potrzeba — zaczyna też płacić Anglia zmianą dotychczasowego systematu nietylko państwowego, ale i społecznego. Projekt Brodricka jest dopiero kwileniem niemowlęcia; głos z piersi dojrzałego męża inaczej zabrzmi. Nic nie uchroni Anglii od powszechnej służby wojskowej i tego przekształcenia, a w pewnej mierze i zniekształcenia, jakie za nią trop w trop iść musi. *Star* mówi, że na rodziny angielskie pada już cień zatrważający — konskrypcya. Domagają się jej generałowie, opędza się jej jeszcze opinia, ale w końcu będzie, co być musi. Tak płaci Anglia za swój imperyalizm podbojowy. Wydzierając Holendrom w Afryce wolność, pozbawia się wolności swej u siebie. Bannerman, były minister wojny liberalnych, lęka się ducha wojowniczego, „który skazi charakter i narodu i państwa.“ Trochę za późno, bo duch już jest, a skażenie charakteru coraz bardziej postępuje. Słowo szyllerowskie o przekleństwie złego uczynku — sprawdza się z wyrazistością, z wymową, z powalającą potęgą na Anglii. Ze złego zło tylko rodzić się będzie. Nie można być bezkarnie wielkiem mocarstwem zdobywczem.

LISTY GALICYJSKIE.

Sześć lat temu jeden z najwybitniejszych publicystów naszych wydał nader ciekawą broszurę — „Bankructwo demokracyi galicyjskiej." I choć się od tego czasu bardzo dużo w Galicyi zmieniło, to jednak, skoro tylko zamierzamy pisać o galicyjskiej demokracyi mieszczańskiej, wyraz „bankructwo" natrętnie ciśnie się pod pióro. Wszak to demokrata Szczepanowski uzasadniał w parlamencie konieczność przedłużenia stanu wyjątkowego w Pradze i jej okolicach; wszak to demokrata Rutowski wypracował ohydnie reakcyjny projekt reformy wyborczej; wszak to demokrata Lewicki musiał prosić dyrekcyę policyi i biskupa tarnowskiego, Łobosa, o przysłanie mu na zgromadzenie sprawozdawcze „obrońców." Ile razy tylko nie znajdowano wśród konserwatystów Koła polskiego nikogo do bronienia jakiegoś, wprost już bezwstydnego wniosku, zawsze nawijał się „demokrata," który spełniał tę funkcyę.

Nastąpił szereg krachów bankowych, odsłaniając cyniczną gospodarkę finansową galicyjskich sfer miarodajnych. Ruina materyalna tysięcy rodzin mieszczańskich, zachwianie się egzystencyi najpewniejszych, położenie bez wyjścia dla całej rzeszy kupców, rękodzielników, drobnego urzędnictwa i inteligencyi — oto skutki dotkliwe tych krachów. Wszystko to musiało wywołać niesłychane rozgoryczenie w sferach mieszczaństwa, które zrozumiało, że dotychczasowe jego wysługiwanie się konserwatystom przyniosło jak najsmutniejsze owoce i że należy z tą taktyką zerwać.

Byliśmy więc świadkami ogromnego wzrostu opozycyjności w sferach mieszczańskich i, gdyby demokracya galicyjska posiadała na swem czele nie bankrutów politycznych, kto wie, czyby ostatnie wybory nie były wyszczerbiły znacznie szeregów reakcyi. Tymczasem przywódcy demokracyi galicyjskiej odegrali, jak zwykle, bolesną tragikomedyę i — z wielkiej chmury nawet małego deszczu nie było.

Całe mieszczaństwo galicyjskie (z wyjątkiem chyba zdecydowanych klerykałów) było rozdrażnione w najwyższym stopniu i tylko czekało hasła, któreby je mogło zelektryzować i pchnąć do walki zaciętej.

Jedynem hasłem, któreby mogło ożywić budzącą się opozycyę szerszych kół mieszczaństwa, mogłoby być tylko — „Precz z Kołem polskiem!" Jasnem jest bowiem dla każdego objektywnego obserwatora, że dopóki potęga Koła polskiego w Wiedniu nie zostanie złamaną, nie może być mowy o żadnych zdobyczach Galicyi.

Koło polskie zajmuje wprost wyjątkowe stanowisko w rzędzie innych klubów parlamentarnych austryackiej Rady państwa. Każdy klub — czy to czeski, czy jakikolwiek z niemieckich, czy włoski, czy też rumuński — stanowi naturalne skupienie posłów, rzeczywiście i dobrowolnie wybranych przez większość obywateli powych okręgów wyborczych. Co innego jest z Kołem. Jeśli wyłączymy 20 posłów wybitnych z kuryi wielkiej własności ziemskiej i 3 z izb handlowych i przemysłowych, którzy wchodzą do parlamentu normalnie, z woli wyborców, to reszta członków Koła (przeszło 30 posłów) z nielicznymi wyjątkami zawdzięcza swój wybór najwstrętniejszym gwałtom, nadużyciom, przekupstwu, szacherkom i presyi ekonomicznej. Dotyczy to wszystkich bez wyjątku mandatów z kuryi chłopskiej i znacznej liczby mandatów z miast. W ten sposób siła liczebna Koła wcale nie odpowiada rzeczywistemu stosunkowi czynników społecznych kraju. *Legalnie* przeprowadzone wybory w Galicyi zdruzgotałyby potęgę Koła, co doskonale rozumieją konserwatyści. Stąd też pochodzi ten dziwny fakt, że Koło stale uprawia politykę rządową i — jak się mówi w Austryi — jest „für jede Majorität zu haben."

Koło, zawdzięczając wybór znacznej liczby swych członków jedynie pomocy rządu, jest zależne od tego ostatniego i, naturalnie, nie może myśleć o opozycyi. Ochłapy, najczęściej w postaci koncesyj lub synekur dla poszczególnych członków Koła — oto wszystko, czego może Koło dopiąć. Żądać ono nie może, gdyż zagrożenie (na seryo) rządowi opozycyą mogłoby pozbawić większość członków Koła szans powtórnego wyboru. Na prośby zaś rząd nie potrzebuje zważać — i oto wskutek takiego położenia jesteśmy świadkami dziwnego zdawałoby się faktu, że gimnazyum cieszyńskie dotychczas nie jest upaństwowione, pomimo „usiłowań" najpotężniejszego liczebnie klubu w parlamencie.

Dopóki więc w parlamencie wiedeńskim nie zjawi się silny zastęp posłów polskich, nienależących do Koła i mogących zagrozić rządowi opozycyą i nie obawiających się nowych wyborów, niepodobna oczekiwać dla Galicyi nic od zarządu. Wobec tego hasło: „Precz z Kołem polskiem!" hasło utworzenia nowego klubu polskiego z rzeczywistych przedstawicieli ludności galicyjskiej, jest jedynem, mogącem pobudzić do energicznego wystąpienia szerszo masy opozycyjne w miastach — tak, jak się to już stało na wsi i wśród robotników.

Niestety, hasło to, pod którem już oddawna walczą wiejskie i miejskie warstwy ludowe, nie zostało rzucone w masy mieszczaństwa przez jego przywódców.

W sierpniu r. z. odbył się z inicyatywy Romanowicza i Rottera zjazd demokratów, którzy jak najuroczyściej zapewniali, że im bynajmniej o rozbicie Koła nie chodzi, że chcą zachować osławioną „solidarność," tj. uległość we wszystkich sprawach komendzie konserwatystów, pragną zaś jedynie reformy statutów Koła. Po tak „rewolucyjnych" zapewnieniach powrócili najspokojniej do domów na dalszą drzemkę polityczną, chociaż wkrótce miały nastąpić wybory pięciu posłów do sejmu z dziewięciu miast, które po raz pierwszy uzyskały prawo głosowania. Nie zrobiono literalnie nic, ażeby zdobyć te mandaty dla rzetelnej opozycyi, no i zgotowano jeszcze jeden tryumf reakcyi, gdyż z urny wyborczej powychodzili „demokraci" takiego autoramentu, co nawet reformy statutów Koła nie chcieli i zobowiązali się służyć reakcyi bez żadnych zastrzeżeń.

Ta dobrowolna porażka opozycyi pobudziła znaczną większość demokratów do skruchy i wyrzeczenia się chwilowych popędów w kierunku opozycyjnym. Widząc, że sam nastrój opozycyjny mieszczaństwa nie może skruszyć murów przewagi reakcyi i że wybory do parlamentu mogą być lada dzień rozpisane, pospieszyli jak najprędzej odzyskać zachwiane zaufanie konserwatystów, by nic nie stracić przy tych wyborach. Ukazał się więc manifest, podpisany przez 17 demokratów, potępiający „burzycielskie" knowania Rottera, Romanowicza i Rutowskiego, ktorzy naraz zostali prawie zupełnie osamotnieni.

A jednak, pomimo całego tchórzostwa i niedołęstwa przywódców demokracyi, mieszczaństwo burzyło się w dalszym ciągu — i stała się rzecz niesłychana — prawie wszystkie miasta zerwały otwarcie ze stańczykowskim komitetem centralnym i znowu czekały tylko hasła „Precz z Kołem!", ażeby wybrać szczerych opozycyonistów, którzyby razem z posłami chłopskimi utworzyli demokratyczny klub polski w parlamencie. Próżne jednak były oczekiwania. Demokraci stchórzyli ostatecznie i po za plecami wyborców poczęli

---

4)

Rudyard Kipling.

GRABARZE.

(z drugiej księgi puszczy)

Dopiero po piątym strzale, — ciągnął Mugger z takim spokojem, jak gdyby mu nigdy do głowy nawet nie przychodziła chęć zatłuczenia jednego ze słuchaczy — dopiero po piątym strzale ochłonąłem na tyle, że mogłem się zanurzyć, a kiedy wypłynąłem znów na powierzchnię wody, usłyszałem, jak jeden z żeglarzy przekonywał właśnie te wszystkie białe kobiety, że z największą pewnością zostałem zabity. Jedna kula utkwiła mi pod łuską na karku, Nie wiem, czy tam jest dotąd, ponieważ nie mogę odwrócić głowy! Zbliż się, moje dziecię, a zobaczysz. Będzie to potwierdzeniem prawdziwości mego opowiadania.

— Ja? — odparł Szakal. — Śmiałżeby taki zjadacz starych trzewików i rozgryzacz kości, jak ja, podawać w wątpliwość słowa Zachwytu Rzeki? Niech mi ślepe szczenięta ogon odgryzą, jeżeli choćby cień podobnej wątpliwości powstał w mym słabym umyśle. Dobrodziej Nędzarzy raczył powiadomić swego sługę, że raz w życiu został raniony przez kobietę, — to wystarczy, ażebym wiadomość o tem przekazał potomstwu, nie żądając żadnego dowodu.

— Zbytek uprzejmości bywa czasem nieznośniejszy, niż największa niegrzeczność, gdyż, jak powiada przysłowie, można gościa udławić zsiadłem mlekiem. Wcale mi o to nie chodzi, ażeby twoje potomstwo wiedziało, iż Mugger z Mugger-Ghaut zdobył jedyną swą ranę z dłoni kobiecej. Będzie ono i tak miało dosyć na swej głowie, jeżeli mu wypadnie zdobywać równie nędzne pożywienie, jak i ojcu.

— Już wszystko zapomniane. Nikt nigdy nic nie mówił. Nie było wcale białej kobiety. Żadna łódź nie istniała. Jednem słowem, nic a nic się nie stało.

Mówiąc to, Szakal wywijał ogonem dla okazania jak doszczętnie wymiótł wszystko z pamięci, poczem siadł ze sztuczną powagą.

— Właściwie, stało się wiele rzeczy, — zaczął znowu Mugger, po raz drugi już tej nocy zawiedziony w swych zamiarach względem przyjaciela, co jednakże nie wpłynęło bynajmniej na ochłodzenie ich stosunku, albowiem zjadać i być zjadanym stanowi święte prawo całego wybrzeża, i Szakal otrzymywał swą cząstkę łupu, gdy Mugger kończył ucztę. — Porzuciłem tę łódź, udając się w górę rzeki, a gdy dostałem się do Arrah i płynące poza nim wody, nie było już tam zmarłych Anglików. Przez jakiś czas woda była pustą. Następnie pokazało się parę trupów w czerwonych płaszczach, już nie angielskich, ale wszystkich jednej rasy: Indów i Purbeeah'ów, którzy wkrótce zaczęli płynąć po pięciu lub sześciu razem, aż wreszcie od Arrah, aż na północ od Agra zdawało się, jak gdyby całe wsie wyruszyły na wodę. Jeden po drugim wynurzały się trupy z małych dopływów, zupełnie jak pnie drzew podczas pory deszczowej. Przybór wody podnosił je tłumami z ławic, na których się zgromadzały; opadające fale wylewu wlokły je za długie włosy, za sobą po polach i puszczy. Przez całą noc w owej drodze na północ słyszałem nieustanne strzały, za nadejściem dnia zaś maszerowanie obutych ludzi przez brody i głuchy stuk ciężkich kół po podwodnym piasku, a każda fala przynosiła nowe trupy. W końcu ogarnęło mnie przerażenie i mówiłem do siebie: jeżeli coś podobnego z ludźmi się dzieje, jakże się uda tego uniknąć Muggerowi z Mugger-Ghaut? Po-

się ubiegać o względy i pomoc konserwatystów. Doszło do tego, że niektórzy „demokraci“ stali się poprostu kandydatami stańczykowskiego komitetu centralnego i zostali wybrani (np. Doboszyński, właściciel *Nowej Reformy*) za pomocą nadużyć, przekupstwa i najcyniczniejszych szwindlów.

Po wyborach, przeprowadzonych naturalnie na modłę „galicyjską,“ wszyscy bez wyjątku demokraci znaleźli się w Kole i tu rozpoczęła się niesłychanie komiczna „walka“ o reformę statutu. Konserwatyści wsiedli na swego konika „solidarności narodowej,“ oznaczającej w praktyce podporządkowanie wszystkich spraw interesom kasty właścicieli wielkiej posiadłości ziemskiej. Demokraci nie zdobyli się nawet na zasadniczą krytykę frazesów o „solidarności,“ jak gdyby nie podejrzewali, że tu chodzi bynajmniej nie o jakieś oderwane zasady, tylko o interes klasowy obszarników. Domagali się jedynie pewnej swobody ruchów w parlamencie i to w taki sposób, jak gdyby im chodziło wyłącznie o spełnienie ciężkiego obowiązku wobec wyborców. Wysunęli żądanie reformy statutów Koła, ale każdy rozumiał, że opór stańczyków nie pobudzi ich do żadnych wystąpień energicznych.

Przypatrzmyż się temu „zreformowaniu“ statutów i oceńmy praktyczne wyniki usiłowań demokratów. Domagali się oni przedewszystkiem prawa stawiania samodzielnych wniosków, następnie—wnoszenia na własną rękę interpelacyj i w końcu wolności przemawiania i głosowania wedle swego sumienia tak w komisyach, jak i w pełnej Izbie. Jest to minimum, przy którem można bronić interesów wyborców z po za obozu konserwatywnego. Naturalnie, że większość Koła wiedząc, z kim ma do czynienia, ani myślała spełnić tych żądań. Najważniejszem z żądań demokratów było prawo wolności interpelacyi. Otóż prawo to w następujący sposób określa § 11 „zreformowanego“ statutu Koła; członkom Koła wolno za poprzedniem zgłoszeniem się w Kole i po przeprowadzonej dyskusyi wnosić w Izbie interpelacye, na które uzyskają *między członkami Koła* wymaganą regulaminem Izby ilość podpisów (15). Przy wnoszeniu tych interpelacyj zbieranie podpisów posłów, nienależących do Koła, nastąpić może tylko za upoważnieniem Koła. Interpelacye takie nie mogą jednak odnosić się: *a*) do spraw polityki zagranicznej; *b*) do ogólnego politycznego stanowiska rządu; *c*) nie mogą być zwrócone przeciw Kołu i jego członkom. Interpelacye nie mogą być skierowane przeciw narodowi polskiemu, uchwałom sejmu, Koła i jego członkom.“ Cały ten paragraf znaczy to samo, co ofiarowanie komuś łyżki przed obiadem, z warunkiem, że nie będzie jej używał do żadnych płynnych potraw. To samo stosuje się do wniosków i przemówień, a § 12 nowego statutu zabrania głosować wbrew Kołu, pozwalając jedynie na usunięcie się z sali posiedzeń tym posłom, którzyby nie mogli „wedle sumienia“ głosować z większością Koła.

Stanowisko konserwatystów jest zrozumiałe. Byliby poprostu skończonymi niedołęgami, gdyby postępowali inaczej z *takimi* „demokratami,“ z których żaden nie zagroził wystąpieniem z Koła po otrzymaniu policzka w postaci „zreformowanego“ statutu. Jeden jedyny Rotter, poseł z Krakowa, zastrzegł się, że odwoła się do wyborców; reszta odetchnęła swobodnie, pozbywszy się kłopotu. Konserwatyści zaś skorzystali z pierwszej sposobności, ażeby pokazać demokratom, że nie myślą uszczuplić praw swych, zawarowanych im w nowym statucie. Oto kiedy Romanowicz, Grek i inni demokraci chcieli interpelować rząd o bezprawne aresztowanie podczas wyborów galicyjskich posła Wójcika i redaktora *Kuryera lwowskiego*, Rewakowicza, konserwatyści pokierowali sprawą tak, że w Kole nie znalazło się 15 podpisów i interpelacya nie została wniesiona.

Czy nie bankruci?

Dulebi.

WIDMO DWU WOJEN.

III.

W urzędowym mundurze przedefilowały przed nami cyfry niemieckiej statystyki i opowiedziały nam, co Niemcy zawdzięczają traktatowi handlowemu z Rosyą z r. 1895. Jak z jednej strony, wyzyskując gościnność handlową, ofiarowaną im na mocy powyższej umowy, Niemcy zainstalowały się, a nawet rozparły na rynku rosyjskim, z drugiej zaś strony otrzymują z rąk Rosyi zboże spożywane przez lud pracujący. Widzieliśmy nadto, jak pod wpływem ożywienia przemysłowego dobrobyt przeniknął do wszystkich warstw narodu niemieckiego. Prawdą jest, iż Niemcy po za powodzeniem doznanem w Rosyi dokonały innych jeszcze podbojów. Wdarły się one do świętego świętych handlu angielskiego, zajęły stanowisko przodujące w Ameryce południowej, rej wodzą w całej Azyi, wyciągają ręce po rynki chińskie itd. Ale należy pamiętać, że fortuna kołem się toczy, a w chwili obecnej występuje na widownię handlową nowy aktor w osobie Stanów Zjednoczonych, mający pretensye do roli pierwszego bohatera; że nad światem zawisła chmura kryzysu i że w takich warunkach rynek opatentowany i zaasekurowany za pomocą umowy handlowej jest czemś więcej, niż wróblem w garści, tem bardziej, iż wywóz do Rosyi wzrasta nieustannie w stosunku do ogólnego wywozu niemieckiego. W r. 1894 wywóz do Rosyi stanowił 6,5% ogólnego, z czasem zaś podniósł się do wysokości 9,7, 9,8, 10. 11% itd. Zanim przejdziemy do rozpatrzenia trudności, jakie napotyka sprawa traktatów w łonie samych Niemiec, zauważymy jeszcze, iż nas bezpośrednio obchodzi rzecz cała tylko z tego względu, że Królestwo wywozi do Niemiec nabiał, jaja, mięso, drób, konie i trzodę chlewną. Jak stwierdził Wł. Żukowski w swym „Bilansie handlowym gubernij Królestwa Polskiego,“ wwozimy obecnie zboże, zamiast je wywozić. Minęły te czasy, kiedy w angielskiej literaturze klasycznej mówiono o „Poland“ jako o kraju wywożącym zboże. Bezpośrednio jesteśmy przeto tylko słabo zainteresowani w całej tej sprawie, a pośrednio rzecz ta nas obchodzi dlatego, iż zależnie od ukształtowania się wywozu zbożowego z Rosyi, maleje lub rozszerza się rynek, na którym Królestwo zbywa swe towary.

A teraz przystąpmy do ostatniego zapowiedzianego już punktu: jakie stanowisko zajęło społeczeństwo niemieckie i rząd wobec sprawy, potrącającej o podstawy bytu ekonomicznego Niemiec.

Jeśli pominiemy grupy niezdecydowane, nieprzyzwyczajone do kategorycznych „tak“ lub „nie,“ to naród niemiecki rozpada się na dwa wrogie sobie obozy handlowo-polityczne: jeden głosujący za możliwie wysokiemi cłami zbożowemi, drugi — niechętny wszelkim daninom wwozowym. Pierwszy reprezentują agraryusze i ich faktorzy, drugi — wszystkie stronnictwa lewicy. Przeciwieństwo poglądów bronionych przez obydwa odłamy da się najlepiej scharakteryzować w następującym dyalogu agraryuszów z ludem. „Potwarzy dopuszczają się ci — wołają agraryusze — którzy posądzają nas o chciwość na zasadzie tego, iż żądamy opłaty od wwozowego

---

kazywały się tam również poza mną statki bez żagli, płonące ustawicznie, jak płoną czasami łodzie, naładowane bawełną, ale wcale nie idące na dno.

— Aha,—rzekł Adjutant. — To tak, jak w kalkucie na południu. Wysokie i czarne statki, wyrzucające wodę poza siebie z ogonami i...

— Będące trzy razy większe od mojej wsi. Co do moich statków, to te były niskie i białe, wyrzucały wodę z obydwóch boków i nie były większe, niż przystało na statki tego, kto mówi prawdę. Przestraszyłem się nie na żarty i, uciekłszy z wody, powędrowałem z powrotem do mojej rzeki, ukrywając się w dzień, a maszerując w nocy, o ile się nie zdarzył jaki strumień po drodze. Powróciłem do mojej wioski, nie spodziewając się zastać żywej duszy z mego ludu. Tymczasem zastałem ich wszystkich orzących, siejących, zbierających i krzątających się na swoich polach tak spokojnie jak ich bydło.

— A w rzece czy wciąż poddostatkiem było żywności? — spytał Szakal.

— Więcej, niż mogłem życzyć sobie. Nawet ja, który przecie nie umiem się zadawalać samym iłem, nawet ja uczułem przesyt, a nadto, pamiętam, pewien niepokój z tego nieustającego napływu milczących istot. Słyszałem, jak ludzie moi opowiadali we wsi, że wszyscy Anglicy poginęli, jednakowoż ci, co płynęli z biegiem wody ze spuszczonemi w dół twarzami, nie byli to Anglicy i moi ludzie to spostrzegli. W końcu przeto przyszli do wniosku, że najlepiej będzie nic nie mówić, tylko opłacać podatki i uprawiać ziemię. Po dłuższym czasie rzeka się oczyściła i to, co jeszcze nadpływało, najwidoczniej, — o czem się mogłem łatwo przekonać — potonęło w czasie powodzi, a chociaż wtedy trudniej mi było znaleźć pożywienie, byłem jednakże szczerze z tego zadowolony. Małe zabójstwo od czasu do czasu — to wcale niezła rzecz, ale zdarza się, że i Mugger nareszcie ma już dosyć, jak powiadają.

— Cuda, istne cuda!—zawołał Szakal.— Od samego słuchania o tylu dobrych rzeczach zdaje mi się, że utyłem. Niechże mi będzie wolno zadać pytanie, co potem czynił Dobrodziej Nędzarzy?

— Postanowiłem sobie — i na jedną i drugą stronę Gangesu przysięgam, że z zaciśniętemi szczękami trwam w tem postanowieniu—postanowiłem zatem póki życia, nie szukać przygód po świecie. Żyłem odtąd przy grobli, tuż obok moich ludzi, czuwając nad nimi rok po roku, a oni ukochali mnie do tego stopnia, że zarzucali mnie wiankami z kwiatów, jak tylko zobaczyli, że wystawiłem głowę. Tak, los był na mnie łaskawy; cała rzeka z należytą dobrocią szanuje mą starość i zgrzybiałość, a jednak.....

— Nikt nie jest zupełnie szczęśliwym od dzioba do ogona — wyrzekł Adjutant ze współczuciem. — Czegóż to więc brakuje Muggerowi z Mugger-Ghaut?

— Tego małego dziecka, które mi się wymknęło, — odpowiedział Mugger z głębokiem westchnieniem. — Był to taki drobiazg, a jednak nie mogę zapomnieć o niem. Jestem już stary, lecz zanim umrę, chciałbym jeszcze pewnej nowej sprobować rzeczy. Wprawdzie są to ludzie o ciężkich stopach, hałasujący i niemądrzy tak, że polowanie na nich nie sprawiłoby wiele przyjemności, ale pamięć dawnych dni, spędzonych pod Benaresem, nie opuszcza mnie, a i chłopiec ten, jeżeli tylko żyje, pewnie dni owe pamięta. Kto wie, czy nie przechadza się nad brzegiem jakiej rzeki, i nie chełpi się z tego, że ongi wyrwał dłonie z zębów Muggera z Mugger-Ghaut, i nic mu się nie stało! Nie mogę się na los uskarżać, wszelako to jedno udręcza mnie we śnie chwilami — myśl o tem małem dziecku na krawędzi łodzi!

zboża; z ręką na sercu zapewniamy, iż czynimy to, mając na względzie dobrobyt społeczeństwa. Aspiracye nasze dadzą się streścić krótko i węzłowato w formułce: „precz z państwem przemysłowem.“ Wybujałość fabrykacyi kosztem rolnictwa prowadzi do całego szeregu klęsk elementarnych, z których tu zaznaczymy tylko najważniejsze. Popierwsze: państwo, w którym fabrykacya bierze górę nad rolnictwem, zmuszone jest wwozić zboże z zagranicy. Bez koronek i aksamitu ludzie mogą się obejść, zrzec się chleba nie sposób. Społeczeństwo przemysłowe zatem, chcąc zaspokoić swe najniezbędniejsze potrzeby, musi uciekać się do usług swych sąsiadów. W czasach zwykłych zależność ta nie daje się zbytnio we znaki, ale co pocznie kraj w razie wojny lub zatargu ekonomicznego ze swymi dostawcami zbożowymi? Czyż nie lepiej zatem stać na własnych nogach, zamiast opierać się na cudzem ramieniu? Ogół w swym własnym, dobrze zrozumianym interesie, powinien stworzyć warunki, przy których rolnictwo wiązałoby koniec z końcem, a pierwszym krokiem w tym kierunku byłoby zaprowadzenie ceł wyższych, niż obecne. Zagranicznego intruza wyparłoby wtedy zboże krajowe, a rolnictwo niemieckie, zapanowawszy niepodzielnie na rynku miejscowym, rozszerzyłoby z czasem swe terytoryum uprawne. Niemcy miałyby swój śpichlerz tuż pod ręką, u siebie w domu i nie byłyby zmuszone oglądać się na cudzą pomoc. Powtóre — ciągną dalej landlordowie — proszę zważyć, iż handel wiedzie obecnie byt tułaczy i wałęsa się po całym świecie, szukając zbytu dla wytworów naszych fabryk. O rynki wszechświatowe toczy się obecnie walka na pięści między narodami i nawet my znani z domatorskiego usposobienia szykujemy od niejakiego czasu wyprawy zamorskie, wtrącamy się do każdego sporu w dalekich krajach, a to wszystko jedynie dla dobra naszej fabrykacyi. Dlaczegóż? Dlatego, że w kraju naszym niema komu kupować wszystkich wytwarzanych towarów a na nabywcach zbywa dlatego, iż rolnictwo zubożało. Z chwilą, gdy ono obrośnie w pierze, gdy jego zastępy pomnożą się, gdy wieś obudzi się ze swej śpiączki i zaroi od ludzi, wtedy i przemysł niby marnotrawny syn porzuci swą tułaczkę i powróci do domu, na łono ojczyzny. Nie dla siebie tedy żądamy ceł wysokich, lecz dla dobra całego ogółu. W r. 1894 zniżyły Niemcy cło zbożowe dla Rosyi, w r. 1904 musimy je podnieść do wysokości, która odrazu zatamowałaby dopływ zboża rosyjskiego. Niech sobie Rosya zamyka rogatkę przed naszymi towarami. Co nam wtedy po Rosyi, wszak z rozkwitem rolnictwa narodzi się u nas zapotrzebowanie na nasze produkty. Poco mamy wyciorać cudze kąty. Tak mniej więcej od lat kilku medytują agraryusze w swych organach, a w ostatnich tygodniach w odczycie, który wywołał tu wielką wrzawę, wystąpił zbrojny w taką samą argumentacyę znany ekonomista berliński, prof. Wagner. *Audiatur et altera pars*, posłuchajmy, jak te wywody odpiera, a nawet rozbija w puch lud, któremu wtórnje na swych instrumentach naukowych większość uczonych niemieckich.

„Utrzymujecie, drodzy agraryusze, że cła, podnosząc cenę zboża, przywrócą rolnictwu dawno miniony wiek złoty, a tem samem stworzą dla przemysłu bogate rynki, przemysł w ten sposób pozbędzie się swego największego kłopotu: troski o zbyt dla swych towarów. Postaramy się wam dowieść, iż cła nie podnoszą w sposób pożądany cen zboża, że gdyby to nawet uczyniły, to nie rozszerzyłyby terytoryum rolnego w takim stopniu, by kraj mógł zrezygnować z zagranicznego zboża, że wreszcie wzbogaciłyby tylko drobny zastęp magnateryi rolnej, a więc nie powiększyłyby zbytnio siły kupczej kraju. Cały szereg poważnych ekonomistów stwierdził fakt, iż cena zboża zależy od ułożenia się stosunków na rynku wszechświatowym. Rogatki celne, zagradzając drogę zbożu zagranicznemu, podnoszą cenę zboża tylko względnie, tj. po nad poziom, ustalający się na rynkach zagranicznych. Cła hamują tylko w pewnym stopniu spadek ceny, powstrzymać go nie są w stanie. Tak też działo się w ostatnich dziesięciu, a nawet dwunastu latach. Pomimo, iż od r. 1878 Niemcy coraz szczelniej przymykały wrota celne, rolnictwo krajowe nie pokrzepiło się i jak podkreślają Conrad i von der Goltz, przyszłość zapowiada się nie lepiej. Gorzko zawiódłby się kraj, gdyby liczył wyłącznie na dostawę zboża przez rolnictwo krajowe. Niemcy oczekuje ten sam los, który spotkał wszystkie państwa świata, z wyjątkiem Rosyi, Ameryki i Indyj: przy najwyższych cłach nawet będą one musiały pokrywać niedobór zboża za granicą. Tak upada zupełnie teorya o uniezależnieniu Niemiec od zagranicy na punkcie środków spożywczych. Zobaczmy teraz, kochani agraryusze, czy haracz na zboże polepszy dobrobyt klasy rolniczej. Posłuchajcie, czego nas uczy statystyka. Pokazuje ona, iż z roli utrzymuje się tylko 34% ogółu ludności niemieckiej, a co ważniejsza, $^2/_3$ stanu rolnego składa się nie z wielkich właścicieli ziemskich, nie z kmiotków, lecz z parobków, którzy z pewnością nie zaopatrują rynku w zboże. Ekonomiści dowodzą następnie niezbicie, iż w miastach płaca robocza bynajmniej nie dotrzymuje kroku drożyznie życia, ani ożywieniu rynkowemu; tem bardziej zatem można ręczyć, iż wzrost cen zbożowych odbije się zupełnie nieznacznie na doli parobków pozbawionych organizacyj zawodowych i jęczących pod jarzmem pozostałości pańszczyźnianych. W najlepszym razie więc, jak widzimy, tylko 12% ludności niemieckiej mogłoby zyskać na sztucznych podporach handlowo-politycznych. Jeśli i z tych 12% odtrącimy chłopów małorolnych, co kupują zboże zamiast sprzedawać, to okaże się, iż kampania w szczęta na korzyść opieki państwowej nad nędzą wyjątkową rolnictwa jest wodą na młyn zaledwie 4% społeczeństwa, a właściwie garstki tuzów. Trudno przypuszczać, aby ta zapotrzebowaniem swom utrzymała na swych barkach całą produkcyę fabrykacyi krajowej i mogła zastąpić wszystkie rynki zagraniczne. Obiecywać społeczeństwu stąd złote góry, znaczy osłaniać apetyt szczupłego grona żarłocznych możnowładców aureolą ideałów polityczno-społecznych. Zbrodnią byłoby opodatkować cały naród dla zapewnienia komfortu kilku ludzi, co ani sieją, ani orzą, a jednak opływają w dostatki.

H. F.

Tydzień polityczny. Znowu wielka mowa Bülowa, d. 15 b. m., żywsza nawet, ważniejsza i silniej tętnem faktów bijąca od poprzednich. Chodziło o marki na Chiny—trochę marek, 123 miliony po dawniejszych już 150-u. Najpierw koncert, jego wykonywanie, potem zaraz wynagrodzenie kosztów dla państw i dla jednostek. Wojska pozostaną jeszcze bez ograniczenia czasu; lojalność Chin i rozwój wypadków dadzą mu granice. Dopiero po rękojmiach Europa ustąpi, zostawiając załogi traktatowe. Toż samo stosuje się do Waldersee'go. Mocarstwa ożywia cel wspólny: utrwalić stosunki i przywrócić pokój. Niektóre z nich mają tylko interesy ekonomiczne, inne zaś i polityczne. Niemcy stoją na pierwszem piętrze i dla tego ułożyły się z Anglią o nietykalność Chin—„dopóki to będzie możliwe“. Mandżuryą układ ten nie zajmuje się wcale. Niemcy nie mają żadnych prawie interesów w Mandżuryi, jej los zatem dla nich może być całkiem obojętnym;

Ziewnął, szczęknąwszy zębami.

— Wyciągnę się i przedrzemię. Sprawiajcie się cicho, moje dziatki, uszanujcie wiek sędziwy.

Odwrócił się ociężale i powlókł na najwyższe miejsce ławicy, Szakal zaś i Adjutant przytulili się do drzewa, wyrzuconego przez fale na brzeg, tuż przy samym moście kolejowym.

— To się nazywa żywot przyjemny i pożyteczny — przemówił drwiąco Szakal i badawcze spojrzenie wzniósł ku górującemu nad nim ptakowi. — 1 ani razu, uważasz, nie przyszło mu do głowy wskazać mi jaki kęsek porzucony na brzegu. A przecie ja ze sto razy naprowadzałem go na przysmaki, pluskające się w wodzie. Prawdę mówi przysłowie: wszyscy zapominają o Szakalu i o fryzyerze, skoro się nowin dowiedzą. A teraz poszedł sobie spać! *Arrah!*

— Nie rozumiem, jak szakal może polować na spółkę z Muggerem — odpowiedział Adjutant. — skoro się mały złodziej zwiąże z wielkim złodziejem, łatwo przewidzieć, komu się zdobycz dostanie.

Szakal odwrócił się, zaskomlił niecierpliwie i już się miał zwinąć w kłębek pod pniem drzewa, gdy nagle usiadł na tylnych łapach i, zadarłszy łeb do góry, zaczął poprzez splątane gałęzie wpatrywać się w most z uwagą.

— Cóż tam znowu? — zapytał Adjutant, z niepokojem rozwijając jedno skrzydło.

— Zaraz się dowiemy. Jesteśmy pod wiatrem, ale oni nie nas wypatrują, — ci dwaj ludzie.

— Ludzie? Moje zatrudnienie czyni mnie dla nich nietykalnym. W całych Indyach wiedzą, że osoba moja jest świętą.

W istocie Adjutant, jako pierwszorzędny czyściciel ulic, ma prawo włóczyć się wszędzie, gdzie mu się spodoba, więc też obecnie nawet się nie ruszył.

— Co do mnie, to nie jestem godzien kopnięcia żadnem lepszem obuwiem, prócz trzewika — rzekł Szakal, nie przestając podglądać. Lecz posłuchaj tego tupania: to nie podeszwy wieśniaków, jeno obute nogi białych twarzy. Słuchaj-no jeszcze. To żelazo szczęka o żelazo. To strzelba. Mój drogi, są to ci bezrozumni o ciężkich stopach Anglicy i mają jakiś interes do Muggera.

— Więc idź go ostrzedz. Nie tak dawno nazywał go Dobrodziejem Nędzarzy ktoś, bardzo przypominający zgłodniałego szakala.

— Niech się kuzynek sam troszczy o swoją skórę. Tyle razy powtarzał, że niema się co obawiać białych twarzy... To muszą być białe twarze. Ani jeden z mieszkańców Mugger-Ghaut nie odważyłby się występować przeciwko niemu. A co, nie mówiłem, że jest i strzelba! Teraz, jeżeli się dobrze powiedzie, nie ominie nas uczta jeszcze przededniem. Na lądzie niezbyt dobrze słyszy, a tym razem nie z babą sprawa.

— Światło księżyca odbiło się na chwilę w lufie strzelby za balustradą mostu... Mugger leżał na piasku rozciągnięty tak nieruchomo, jak jego własny cień; utkwił łeb pomiędzy rozciągniętemi nieco przedniemi łapami i chrapał, jak... Mugger.

Na moście ktoś szepnął:

— Dziwaczny strzał, prawie prosto z góry na dół, ale pewny najzupełniej. Próbuj pan lepiej poniżej karku. Chryste, co za potwór! Wieśniacy będą wściekli, jeżeli padnie, bo to *deota* (geniusz) tych okolic.

— Mniejsza o to — odparł inny głos. — Ułowił mi on co najmniej piętnastu najlepszych *kuli* podczas budowy mostu. Wielki czas się z nim załatwić. Całymi tygodniami uganiałem się za nim w łodzi. Bądź pan w pogotowiu ze swym Martini'm, a ja mu wpakuję obie kulki z tego.

— Tylko się pan strzeż, żeby nie dostać

zależy tylko Niemcom na tem, aby Chiny w obecnej chwili nie trwoniły swego mienia *ad fraudem creditorum*. Chinom też odpowiedziały Niemcy na zapytanie, że ubolewałyby nad roztrwanianiem nadwerężającem je finansowo, gdyby np. rozdawały na prawo i na lewo koncesye—nie-Niemcom, stając się przez to dla Niemców wyciśniętą cytryną. Wszystkie mocarstwa podzielają taki pogląd dyplomacyi niemieckiej.

„Poseł chiński w Berlinie—ciągnął dalej kanclerz—skarżył się na nacisk, jakiego doznaje jego rząd o Mandżuryę. Inne doniesienia co innego mówią. Oświadczyłem posłowi, że powinien zwrócić się do konferencyi posłów w Pekinie, przedstawicielki „koncertu" mocarstw". Jest tedy Bülow niesłychanie ostrożnym, chociaż Niemcy, według niego, ani nie są odosobnione, ani nie potrzebują niczyjego poparcia; grać w koncercie—to ich cel; odrębnych celów nie mają. „Nieprawdą jest, jakoby nasz stosunek z Rosyą był zachwiany. Cele, do których zmierzamy, tkwią w stosunkach ekonomicznych i w kulturze. Rosya ma takie same cele, a chociaż przytem ma i interesa polityczne, jedne przecież z drugiemi pogodzić się dadzą. Niema trudniejszych do wyrównania różnic między obu mocarstwami ani w Chinach, ani też na żadnym innym punkcie. Układ z Anglią o dolinę Jang-tse, nie powinien wzbudzać podejrzeń w Rosyi. Z Francyą niema nieporozumień. Japonią widzi się chętnie, a z Włochami i Austryą idzie się ręka w rękę. W sprawie chińskiej, jak i we wszystkich innych, trójprzymierze stoi niewzruszone."

Taka obrona nowych nakładów na Chiny bardzo się sejmowi niemieckiemu podobała.

Poseł japoński w Berlinie, uważa zajęcie Mandżurji za naturalny skutek zajęcia Port-Arthur. „Politische Corr." z poważnego źródła pisze, że przy całej dbałości swojej o zabezpieczenie interesów kolejowych w Mandżuryi, rząd rosyjski pamięta o tem, że należy do koncertu mocarstw i stopniowe opuszczenie Mandżuryi uczynił zależnem od wykonania zbiorowych żądań Europy.

Gorszący spór Lansdowne'a z Wolseleyem Izba lordów nareszcie umorzyła: nie chciała nakazać Lansdowne'owi przedstawienia dokumentów. I bez nich widać, że Wolseley był niedołężnym, ale za to i Lansdowne niezaradnym i ociężałym. Jeśli chodzi o białość, to obaj smolą.

W Izbie austryackiej wciąż jeszcze cicho, prace posuwają się naprzód. Nawet na daleką metę, wierzy się w ten dzisiejszy spokój i na nim opiera układ dalszych prac Izby. O tem co rząd zapłacił tak Niemcom jak Czechom, prócz ustępstw „kulturalnych", jak np. budowa politechniki w Bernie — nic pewnego nie wiadomo. Koło polskie zyskało nowe obsadzenie sekcyi galicyjskiej w m. spr. wewnętrznych—i kołacze wciąż, sapie, chrząka, a kołacze o zapomogę dla Cieszyna wyższą od dotychczasowej. Dziwna rola stronnictwa najpotężniejszego w Izbie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYCHODŹTWO ZAROBKOWE
(w oświetleniu *Prawit. Wiestnika*).

Prawit. Wiestnik zamieścił obszerny artykuł, oparty na danych urzędowych o wychodźtwie zarobkowem ludności wiejskiej do Prus. Za materyał do tego artykułu posłużył memoryał, wydany przez drugi departament ministeryum spraw zagranicznych, opracowany przez Burnaszewa na zasadzie doniesień konsulów rosyjskich. Według danych departamentu opłat celnych, w r. 1891 za granicę pruską wyszło 556,531 robotników wiejskich, zaopatrzonych w przepustki krótkoterminowe; w 1892 — 562,443. Według zawiadomienia barona Wrangla w r. 1896, liczba poddanych rosyjskich, zarobkujących w czterech wschodnich prowincyach pruskich, wynosiła 50,000. Ks. Golicyn, który badał tę sprawę na miejscu 1895 r., obliczył, iż w Prusiech wschodnich znajduje się poddanych rosyjskich 70—80 tysięcy. Dane te wszakże są nieścisłe, cyfry zanadto nizkie. W r. 1896 z jednej tylko gub. Suwalskiej wyszło na zarobek do Prus 67,500 robotników. Trzeba jeszcze i to wziąć pod uwagę, że wielu wychodzi bez wszelkiej kontroli. W r. 1896 wychodźtwo zarobkowe z Królestwa Polskiego doszło do najwyższego napięcia. To samo zjawisko przytrafiło się na wiosnę roku przeszłego.

Godne uwagi są sposoby ściągania robotników: w Prusiech wschodnich, na Śląsku, Pomorzu, w Brandeburgii, w Saksonii, w Księstwie Sasko-Weimarskiem i innych, właściciele ziemscy powierzają werbowanie robotników agentom Żydom lub agenturom. Tajni agenci chodzą po wsiach i umawiają się z włościanami, przeważnie niepiśmiennymi, obiecując im warunki o wiele lepsze, niż są w rzeczywistości. Zadaniem tych agentów jest przeprawianie robotników, najczęściej potajemnie, przez granicę i oddawanie ich tam w ręce innych — agentów niemieckich, którzy już mają do czynienia bezpośrednio z właścicielami ziemskimi.

W pewnych okolicach zaczyna się coraz częściej praktykować sposób najmowania robotników za pomocą jednego z nich, który posiada doświadczenie i zna język niemiecki. Na umowach piśmiennych robotnicy często wychodzą gorzej, niż na ustnych. Najdotkliwsze są zastrzeżone przez zarobkodawców grzywny za najmniejsze wykroczenia, bez pośrednictwa sądu. Jakkolwiek, według brzmienia przepisów, grzywny te mają zasilać miejscową kasę ubogich, w rzeczywistości jednak są źródłem dochodu dozorców, którzy, powodowani niepohamowaną chciwością, nakładają kary niesłuszne przy lada sposobności. Za opuszczenie pracy skutkiem choroby robotnik, w razie jeżeli nie przedstawi świadectwa lekarza, płaci 5 marek, za niestaranną robotę 3 marki itd. Pod kategoryę „niestarannej" można podciągnąć *każdą* robotę. Jest to więc nieograniczone pole nadużyć. Oprócz grzywien są jeszcze kaucye i potrącania, które pochłaniają całkowity zarobek robotników, pomimo iż płaca zarobkowa w Prusiech jest znacznie wyższa, niż w guberniach zachodnich. To też niejednokrotnie zdarzają się wypadki, że robotnik, zrabowany w ten sposób zupełnie, udaje się do konsulatu z prośbą o wysłanie go do domu na koszt skarbu.

Nadużywanie bezbronności wychodźców w Prusiech niczem nie jest skrępowane. To też robotnicy przynoszą do domów (w pomyślnych razach) zaledwie cząstkę swych zarobków. Według wiadomości, zebranych przez konsulat w Memlu, robotnica w okolicach tamecznych zarabia w ciągu lata 240 marek, robotnik około 300. W Brandeburgii, gdzie robotników dostarcza zwykle wychodźca, jeden z ich towarzyszów, podobno niema nadużyć. Wogóle wszakże nieznajomość języka i praw miejscowych zapewniają wyzyskowi i nadużyciom zupełną bezkarność. *Prawit. Wiest.* utrzymuje, iż bezbronność robotników poddanych rosyjskich w Prusiech jest wynikiem nieodpowiednich przepisów paszportowych, złej organizacyi najmu, ubóstwa wychodźców i ich nieznajomości języka niemieckiego. Doświadczenie wykazało całą niewłaściwość paszportów ośmiomiesięcznych, wprowadzonych w r. 1897. Robotnik może je otrzymać dopiero 1-go kwietnia. To też większość woli przekra-

---

w twarz przykładem. Z takim gardłaczem żartów niema!

— To już niech on o tem sądzi. Strzelam!

Rozległ się huk, jak z moździerza, bo też w samej rzeczy strzelby używane na słonie i krokodyle mało się różnią od niewielkiej armaty, poczem dwukrotnie błysnął ogień, i z trzaskiem wypaliła dubeltówka, Martini'ego, której długie kule dają sobie radę z pancerzem krokodyla. Ale już pierwsze pociski zrobiły swoje. Jeden z nich trafił Muggera w sam kark, na odległość dłoni na lewo od kości pacierzowej, drugi ugodził trochę niżej, w miejscu, gdzie się zaczyna ogon. W 99-ciu na sto wypadkach krokodyl, raniony śmiertelnie, ma czas dopłynąć do głębokiej wody i zniknąć, ale Mugger z Mugger-Ghaut był literalnie rozdarty na trzy sztuki. Nie zdążył nawet głową poruszyć, gdy życie go opuściło, i oto leżał spłaszczony, jak szakal.

— Gromy i błyskawice! Gromy i błyskawice!—jęczało to nędzne stworzonko— Cz..by to, co przewozi po moście kryto wo.. zleciało na dół?

— To tylko strzelba — odpowiedział Adjutant, pomimo, że i jemu każde piórko w ogonie dygotało ze strachu. — To tylko strzelba. Umarł zapewne. Ot, i białe twarze nadchodzą.

Obaj Anglicy zbiegli pędem z mostu na piaszczystą ławicę w towarzystwie dwóch krajowców i podziwiali długość Muggera. Następnie jeden z krajowców toporem odrąbał mu gruby łeb i wszyscy czterej zaczęli nawlekać go na żelazny drąg.

— Drugi raz już mi się zdarza wkładać rękę w paszczę Muggera — mówił, nachylając się, jeden z Anglików, ten mianowicie, który most budował. — Pierwszy raz było to w piątym roku mego życia, gdyśmy płynęli po rzece ku Monghyr. Byłem dziecięciem buntu, jak się to nazywało wówczas. W tej łódce była i moja biedna matka, która potem niejednokrotnie opowiadała mi, jak wystrzelała wszystkie ładunki starego rewolweru ojcowskiego w głowę potwora.

— Za to zemściłeś się pan na głowie całego rodu, i warto było dlatego zdobyć siniaka na nosie. Hej, żeglarze! Wyciągnijcie-no ten łeb na brzeg, ugotujemy go potem, żeby zabrać czaszkę: Skóry zabierać nie warto, za bardzo poszarpana. Teraz chodźmy spać. Opłaciło się czuwać całą noc, nieprawdaż?

. . . .

Dziwna rzecz! Nie upłynęło trzech minut po odejściu ludzi, gdy Szakal z Adjutantem wyrzekli do siebie słowo w słowo to samo...

ŚPIEW FALI.

Fala mieni się u brzega
W gasnącego słońca blasku,
A do brodu dziewczę zbiega,
Nurza stópki w rzecznym piasku.
Nóżki zgrabne, szkoda was!
Dziewczę wracaj, póki czas!
Wracaj — fala szemrze do niej,
Bo śmierć czyha w mojej toni.
Gdy mój luby na mnie czeka:
Cofać się nie myślę wcale, —
Bać się rybki, co zdaleka
Plnska się i mąci fale?
Nóżki zgrabne, gdzie wasz dom?
Dziewczę, stój, nadjeżdża prom.
Czekaj, —fala szemrze do niej,
Bo śmierć czyha w mojej toni
Gdy mój luby na mnie woła,
Próżne strachy — biegną dalej...
A wir zdradny ją dokoła
Chwyta, nurza w mętnej fali
Nóżki zgrabne porwał prąd.
Oj, nie wyjdziesz ty na ląd!..
Zikłębiło się wśród toni,
Nurt—skrwawiony — w dal gdzieś goni...

Tłom. *J. Czekalski*.

KONIEC.

czać granicę bez tych paszportów. Taka nielegalność uzależnia ich jeszcze bardziej na obczyźnie. Zresztą ci, którzy posiadają paszporty legalne, nie są zabezpieczeni od samowoli i nadużyć. Zwykle rachunki są załatwiane w ostatniej chwili, gdy się już kończy termin paszportów. Pod tą groźbą robotnik staje się biernym, a zarobkodawca, korzystając z tej sposobności, wyzyskuje go bezwzględnie.

Z tego powodu *Prawit. Wiest.* doradza zawieranie umów na termin krótszy od tego, na jaki są wydawane paszporty. Drugim środkiem może być zakładanie biur pośrednictwa w pracy, na wzór niemieckich. Próbę tego rodzaju już zrobiono w gub. Kowieńskiej: Towarzystwo rolnicze w Rosieniach założyło biuro stręczenia pracy.

Prawit. Wiest. utrzymuje, iż biura takie, rozsiane w całym kraju, mogłyby uregulować i zaspokoić potrzeby miejscowe i dopiero po zaopatrzeniu tą drogą warsztatów rolnych i fabrycznych w siły robocze, ludność wiejska, zarobkująca w Królestwie Polskiem, mogłaby się udawać za granicę.

Biura takie miałyby istotnie wielkie znaczenie.

P.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Wołanie w puszczy.

Polityka, zasiana w grunt niemiecki ręką Bismarcka, plonuje dotąd płodnie i bujnie, ożywiając lub wytwarzając w narodzie popędy barbarzyńskie. Plemię to, którego jednostki oskrzydlały się do wysokich lotów w filozofii i poezyi, zawsze było w praktyce brutalnem, samolubnem i niedostępnem dla szlachetnych wzruszeń. Ale po reformacyi nowego, politycznego Lutra zdziczało zupełnie. Gdziekolwiek znajdzie się uwolnione od skrupułów zewnętrznej przyzwoitości i wstydu wobec opinii—w Afryce czy w Azyi—przedzierga się natychmiast. To też naśladuje i pisze do krewnych w ojczyźnie listy, które otrzymały osobną nazwę: *Hunnenbriefe*.

W Europie dzikie hulajdusze nie mogą używać tej samej swobody, ale i tu nie brak im pola. Zamiast Chińczyków i murzynów, mają w swoich granicach „małoważną narodowość“ i „wrogów państwa,“ a przedewszystkiem Polaków, przeciw którym muszą się „bronić.“ Jakoż bronią się w parlamentach, gazetach i w administracyi wyjątkowemi prawami, fałszywemi oskarżeniami, prześladowaniami — całym systemem kłamstwa i ucisku. Do tej zacnej roboty staje coraz nowy związek: dawniej byli to kulturkampferzy, potem hakatyści, teraz scharfmacherzy. Są to, jak ich poprzednicy, specyaliści od przeistaczania rzeczywistości, od łgania, co się zmieści w publiczne i urzędowe słowo, od wzywania rządu, ażeby był ostry — *scharf*. Naturalnie muszą znajdować się tacy, którzy upominają rodaków. „Niema dążności—woła prof. Paulsen—któraby bardziej ubliżała kulturze wszechludzkiej, niż dążność do wynaradawiania drogą gwałtu i przemocy. Niema też dziejów, bardziej uwłaczających godności ludzkiej, niż polityka germanizacyjna w Poznańskiem.“

Podobny głos podnosi prof. Delbrück.

Nowe odparcie.

Wiestnik finansów— organ ministeryum skarbu — znowu odezwał się w przedmiocie zamierzonej przez Niemcy podwyżki ceł od zboża, przywożonego z Rosyi. Odpowiadając na zarzuty, wywołane poprzednim artykułem, stwierdza on, że Rosya nie chce wcale mieszać się w wewnętrzne sprawy sąsiadów i przyznaje im prawo dopasowywania swych stosunków gospodarczych do interesów narodu. Ale to samo prawo musi również jej służyć. Państwa czynią sobie wzajemne ustępstwa ze swej samodzielności ekonomicznej dla wyrównania korzyści, a żadne nie może karmić się tylko ofiarami i szkodami innych. Jeżeli Niemcy obłożą wysokiem cłem najważniejszy produkt wywozowy Rosyi, zboże, to ona musi odeprzeć ten atak podniesieniem opłat na wyroby niemieckie i zapewnić ulgi celne innym państwom, które otworzą u siebie zbyt dla jej wywozu.

Ton tych dowodzeń brzmi ciągle stanowczo i nie obiecuje Niemcom powolności przy odnowieniu traktatów handlowych. Zapewne jest on po części wynikiem postawy, zajętej przez Niemcy w Chinach, ale też wypływa z samej sprawy, która jest zbyt ważną, a w Berlinie traktowaną zbyt jednostronnie, ażeby mogła nie zobowiązywać do wielkiej czujności. Ponieważ zaś nasz kraj jest bardzo mocno zainteresowany warunkami wywozu zboża i przywozu fabrykatów niemieckich, więc zarówno obecne podjazdy i utarczki w wojnie celnej, jako też przyszłe jej zakończenie traktatem, posiadają dla nas pierwszorzędną wagę. Z tego względu zwracamy na nią uwagę czytelników.

Koszta oświaty.

Ciekawe zestawienie statystyczne zrobiła *Gazeta polska*, ogłaszając w równoległych kolumnach cyfry ludności miast Królestwa Polskiego i ich wydatki na oświatę początkową. Okazuje się tedy, że 1,989,000 mieszkańców przeznacza na ten cel (według budżetów miejskich) 484,666 rubli, czyli 24 kop. na głowę.

Skala tych wydatków, a raczej oszczędności jest bardzo wielka. Pierwsze miejsce zajęła Warszawa, która poświęca 51 kop. na głowę, ostatnie — Łęczna, która daje tylko $^3/_{16}$ kop. na oświecenie jednej głowy. Między tymi dwoma krańcami szeregują się nasze miasta i miasteczka ze swymi budżetami. Przy biegunie dodatnim widzimy tuż za Warszawą Olkusz (48 kop.), Łęczycę (28), Gostynin (13); przy ujemnym zaś obok Łęczny: Żelechów ($^1/_4$ k.), N. Mińsk ($^5/_6$ k.), Garwolin ($^3/_{16}$ k.), Biłgoraj ($^1/_3$ k.), Węgrów ($^3/_4$ k.) itd. Miasta gubernialne idą w następującej kolei za Warszawą: Radom (34 k.), Kalisz (25 k.), Płock (prawie 17 k.), Piotrków (13 k.), Lublin (prawie 13 k.), Kielce (prawie 12 k.), Suwałki (6 k.), Łomża (6 k.) i wreszcie z łojową świeczką Siedlce ($1^1/_2$ k.). Ponieważ nawet wielkie ogniska życia (bogata Łódź traci na oświatę 19 kop. od głowy) nie dosięgają średniej cyfry tego wydatku (24 kop.), przeto wytwarza ją zaledwie kilka miast bardziej dbałych o swój lud. Zaznaczyć przeto należy, że — jak to wykazał niedawno jeden z dzienników— niektóre miasteczka posiadają dość duże kapitały, które mogłyby użyć na szkoły, ale ich zarządom nie chce się o tem pomyśleć. Na ulicach i w domach brudno, w głowach ciemno, w bankach bezczynne kapitały — oto zwykły obraz naszej kultury miejskiej.

Kult i mania.

W ostatnich latach prasa nasza rzuciła się do upamiętniania rozmaitych rocznic. Wskrzeszanie czcigodnych cieniów i przypominanie wielkich zasług uznać trzeba za czyny chwalebne i pożyteczne. Są one nietylko spłatą długu wdzięczności potomków względem ich przodków, nietylko podtrzymywaniem nierozerwalnego ciągu duchowej tradycyi narodu, lecz także wychowawczym wpływem na dojrzewające pokolenia. Ten wszakże kult nie powinien wyradzać się w manię i posuwać się do granic śmieszności. Rozmaitych jubileuszów mamy znacznie więcej, niż zasługujących na nie bohaterów. Niechże ta przewyżka istnieje, lecz przynajmniej utrzymajmy ją w jakichś normach powszechnie przyjętych. Tymczasem doszło do tego, że nie poprzestajemy na dwudziestopięcio, trzydziesto i pięćdziesięcioleciach i chcielibyśmy, a właściwie interesowani chcieliby, ażeby co kilka lat naród uprzytomniał sobie ich działalność, składał im wieńce i hołdy. Nie przeczymy, że taka powtarzająca się często renta sławy jest zwłaszcza dla ludzi próżnych bardzo przyjemną, ale społeczeństwo musi zajmować się jeszcze czemś więcej, niż paroma osobnikami, którym dokucza wieczny głód rozgłosu i którzy czują się wielce pokrzywdzonymi, jeżeli przez parę lat nie powąchają kadzidel jubileuszowych. Prawda, że ci, którzy nie spodziewają się żyć po śmierci, mają w tem przeświadczeniu powód i pobudkę do ściągnięcia całej możliwej sumy uznania przed zgonem, ale ogół wybaczając im podobną skwapliwość, nie może jej dogadzać kosztem swej uwagi dla innych, często ważniejszych przedmiotów.

Upadek piwowarstwa.

Od chwili wprowadzenia monopolu i wynikających z niego ograniczeń piwowarstwo zaczęło widocznie i stale upadać. Otóż delegacya piwowarska, istniejąca przy sekcyi IV Tow. przemysłu i handlu, postanowiła przedsięwziąć środki ratunku i w tym celu d. 26 lutego zwołała osobną naradę, na której zdała sprawę ze swych zabiegów dotychczasowych. Łącznie z urzędem starszych zwracała się ona nieustannie do władz decydujących z prośbami i przedstawieniami, w których wyłuszczała krytyczne położenie i potrzebę naprawy warunków. Wszystko to jednak pozostało dotychczas bez żadnego skutku. Stwierdzono na posiedzeniu, iż ilość piwa, wyrabianego w kraju, stale się zmniejsza od chwili wprowadzenia monopolu, pomimo że ludność ciągle wzrasta. Stan taki wyjątkowo jest niepomyślny dla piwowarstwa naszego jeszcze z tego względu, że spożycie piwa u nas stosunkowo jest bardzo skromne: wynosi $1\frac{1}{2}$ butelki miesięcznie na głowę, podczas gdy w Belgii 55, a w Niemczech 23. Upadek piwowarstwa a zarazem i związanych z niem gałęzi rolnictwa bezpośrednio zainteresowani całkiem zasadnie przypisują stosowanym obecnie nadmiernym ograniczeniom w sprzedaży piwa, pomimo że napój ten nie może być stawiany na równi z wódką, gdyż zawiera alkoholu przeszło dziewięć razy mniej, nadto posiada stosunkowo znaczny procent (5—8%) ciał pożywnych, których w wódce niema wcale. W miastach prowincyonalnych i po wsiach sprzedaż piwa przez $^2/_3$ roku jest powstrzymana prawie zupełnie. Tylko dla Warszawy zrobiono ulgi, ale bardzo małe. Skutkiem tego ludność w braku piwa — jak zaznacza sprawozdawca *Kuryera codziennego* — korzysta z wód owocowych, przyrządzonych przeważnie z sacharyną, a bez owoców. Dowodzą tego liczne sprawy, toczące się w sądach miejscowych. Piwowarzy nasi utrzymują, iż to samo dzieje się i na prowincyi. Dodać winniśmy jeszcze jeden szczegół znamienny. Od chwili wprowadzenia ograniczeń w sprzedaży piwa na prowincyi wzmogło się znacznie spożycie wódki. Piwowarzy na posiedzeniu delegacyi wyrazili swoje obawy, że wobec tak smutnego stanu rzeczy wprowadzenie od 1 stycznia 1902 r. podwyżki akcyzy wywoła zupełny upadek tej gałęzi przemysłu. Z tego powodu postanowiono przesłać do ministeryum dokładne wyjaśnienie stanu rzeczy i starać się o ulgi. W końcu nadmienić musimy, iż związek piwowarów ro-

syjskich stwierdził taki stan rzeczy i chce przedstawić władzom obraz upadającego piwowarstwa w całem państwie.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYRODOZNAWSTWO.

Dr. L. Silberstein: *Wstęp do dziedziny zjawisk elektro-magnetycznych.* Część I. Niezmienne pole magnetyczne. Warszawa 1901.

Jest to pierwsza z pomiędzy trzech zapowiedzianych monografii popularnych autora; drugą ma być *Niezmienne pole elektryczne*, a trzecią *Pole elektro-magnetyczne.* Wnosząc z niektórych uwag i objaśnień, zamieszczonych w tekście, możnaby przypuszczać, że wykłady te są przeznaczone na użytek osób, nie mających żadnego prawie przygotowania matematycznego (znajdujemy np. na str. 126 objaśnienie, co to jest styczna trygonometryczna); tymczasem w rzeczywistości mimo elementarnej *formy*, wymagają one od czytelnika dobrego oryentowania się wśród zasadniczych pojęć geometryi i mechaniki tem bardziej, że chodzi o poglądy przeważnie nowe, z którymi profan nie miał sposobności otrzaskać się bodaj powierzchownie. Wobec tego nie sądzę, aby książka mogła przynieść istotną korzyść tej sferze czytelników, dla której zdaje się być przeznaczoną. Wystarczy jednak wznieść się o parę stopni wyżej w hierarchii przygotowań, aby trafić na grunt, na którym *Niezmienne pole magnetyczne* oddać może wielkie usługi, jest to bowiem rzecz napisana doskonale.

Wyłożywszy na wstępie I-go wykładu różnicę, jaka zachodzi pomiędzy działaniem na odległość (actio in distans), a działaniem za pośrednictwem substancyi materyalnej, autor zaczyna badanie zjawisk magnetycznych od rozpatrzenia się w stanie ośrodka, wypełniającego przestrzeń pomiędzy czynnemi bryłami — magnesami: daje więc kolejno określenia linii siły, pola magnetycznego, rurek siły, zatrzymuje się dłużej nieco nad wielkością siły mechanicznej, działającej na wzorcową igiełkę magnetyczną, mówi o indukcyi magnetycznej przez powierzchnię, wreszcie stwierdza, że w każdym punkcie jednorodnego ośrodka rozbieżność pola magnetycznego równa się zeru.

O czemkolwiek mówi, cokolwiek wprowadza, wszędzie i zawsze stara się autor chwytać czytelnika na samym początku drogi, nie chce bowiem mieć do czynienia z gruntem, zachwaszczonym poglądami przestarzałemi i pojęciami nieścisłemi. I ma w tem najzupełniejszą słuszność. Przestaje jednak mieć tę słuszność, gdy do książki, bądź co bądź popularnej, wprowadza ustępy natury polemicznej, gdy występuje namiętnie przeciwko teoryom, niedawno wycofanym z obiegu albo i wcale jeszcze nie wycofanym i gdy je piętnuje mianem niedorzecznych i t. p. (np. w wykładzie I-ym ustęp o teoryi „centrów magnetycznych"), zapominając o tem, jak dalece względną rzeczą jest „dorzeczność" teoryi naukowej. Takie wycieczki łatwo mogą mniej świadomego rzeczy czytelnika naprowadzić na mysl, że do niedawna studyowaniu fizyki a przynajmniej magnetyzmu poświęcali się ludzie upośledzeni na umyśle, bardziej zaś świadomego— razić muszą niemile. Na szczęście, książka pisana jest tak pociągająco, że przykre wrażenie zaciera się prędko. Oto np. w wykładzie II-im ustęp o uzmysławianiu przyciągań i odpychań magnetycznych za pomocą modeli kauczukowych. Czy można żądać czegoś lepiej ułożonego, zgrabniej wypowiedzianego? Sądzę, że po przeczytaniu tego ustępu niejeden chciwy wiedzy czytelnik, co się już nad rozmaitemi popularnemi dziełkami z małym skutkiem sporo nabiedził, zawoła z uczuciem ulgi: „No, teraz to ja naprawdę rozumiem!" Albo dalej, w tym samym wykładzie, jakże dobrze przedstawiony został czytelnikowi Maxwellowski eter elektro-magnetyczny a wraz z nim teorya napięć i ciśnień. W końcu tego wykładu autor przeprowadza starannie a ostrożnie analogię hydrostatyczną i daje pojęcie o wirach.

Najsłabszym stosunkowo punktem wykładu II-go jest ustęp, poświęcony rozróżnieniu pojęć masy i ciężaru, aczkolwiek i z tego, do spopularyzowania niezmiernie trudnego tematu autor wywiązuje się nie najgorzej. Natomiast w bardzo niepedagogiczny sposób omawia doświadczenia Quincke'go nad napięciami i ciśnieniami w polu magnetycznem. Cóż bowiem sądzić ma czytelnik, który na przestrzeni kilkunastu wierszy dowiaduje się: 1-o że podług Quincke'go ciśnienia w kierunku prostopadłym do kierunku linij magnetycznych istotnie ulegają prawu Maxwella, 2-o że w kierunku linij magnetycznych Quincke znalazł w badanych cieczach zamiast Maxwellowskich napięć — ciśnienia i 3-o, że odnośne doświadczenia Quincke'go nie posiadają mocy bezwzględnie przekonywającej?

Początek wykładu III-go poświęcony jest określeniu siły magnetycznej wewnątrz bryły. Z kolei przechodzi autor do pojęcia przenikliwości magnetycznej, bada załamywanie się linij siły (przy przechodzeniu z ośrodka do ośrodka), uogólnia dane już w wykładzie I-ym pojęcie indukcyi magnetycznej i konstatuje, że liczba rurek jednostkowych siły odpowiada ładunkowi magnetycznemu w teoryi płynów, wreszcie tłomaczy zachowanie się ciał zależnie od wartości współczynników μ i t. p. Cały ten wykład jest po prostu świetny.

Wykład IV i ostatni rozpoczyna się od określenia magnesu trwałego a następnie solenoidu. Z rozmieszczenia rurek sił dokoła końców (biegunów) dostatecznie długiego solenoidu wypływa prawo odwrotnych kwadratów. Unieruchomiwszy jeden biegun giętkiego solenoidu, autor bada zachowanie się drugiego bieguna w polu magnetycznem i wyprowadza ztąd pojęcia pracy siły magnetycznej i potencyału, a następnie — energii i związanej z nią Maxwellowskiej komórki magnetycznej.

Rozporządzając (z umysłu) rynsztunkiem wykładowym bardzo ograniczonym, p. Silberstein stworzył całość niezmiernie przejrzystą, nie poświęciwszy nic ze ścisłości. Książka jego, dająca pełny obraz pola magnetycznego w świetle najnowszych poglądów, powinna znaleźć się przedewszystkiem w ręku każdego nauczyciela fizyki. Nie małą także korzyść przynieść może zapoznanie się z *Polem magnetycznem* studentowi, któremu kunsztowne osłonki matematyczne profesorskiego wykładu przysłaniają nieraz najistotniejszą treść badanych zjawisk. Wreszcie nie bez pożytku czytać może te wykłady i ktoś taki, co dopiero z nich się dowie o istnieniu stycznej trygonometrycznej, pod warunkiem atoli, że lekturą tą kierować będzie dobry nauczyciel. Styl dziełka jest jasny i potoczysty. Język — na ogół bardzo dobry, miejscami ładny. Spotykamy wprawdzie na str. 18-tej „własność ciągłości zmian kierunku siły," ale uszczegółowanie takie nie powtarza się już więcej ani razu. Z pomniejszych niewłaściwości wymienię: „umożliwiły przepowiednie" zamiast „przepowiedzenie," „badawcza wędrówka," „różnią się przez to" zamiast „tem," „niesłychanie wiele jeszcze więcej."

Usterki, dotyczące raczej treści niż formy: na str. 79 czytamy: „ciężar każdej takiej bryły jest wprost proporcyonalny do jej masy w *danej* okolicy." Jest to oczywisty *lapsus*, albowiem wiadomo, że ciężar jest proporcyonalny do masy zawsze i wszędzie, ale *lapsus* w książce popularnej bardzo niebezpieczny.

Bardzo niemiłe wrażenie sprawiają stale przez autora używane wyrażenia: „wymuszony stan eteru" i „materya grubsza." Wyraz „wymuszony" ma w języku polskim znaczenie całkiem specyalne i nie należy go używać w znaczeniu „odkształcony," pomimo że etymologicznie, „stan wymuszony" może bliższy jest francuskiego „etat de contrainte."

Niema także powodu do wprowadzania trywialnej, a nic nie mówiącej nazwy „materya grubsza," zamiast wyrażenia „materya zwykła," wyrażenia, które zupełnie dobrze rzecz maluje.

Z pomiędzy rysunków, których jest 61, jeden tylko mianowicie 13 nie odpowiada swemu celowi, albowiem z powodu braku cieniów nie przemawia wcale do wyobraźni czytelnika. Reszta — umiejętnie dobrana, i wyraźnie odbita, przyczynia się niemało do podniesienia wartości tej prawdziwie pożytecznej i pięknej książki.

St. Bouffałł.

ODCZYTY.

Jan Tur: *O rozwoju zwierząt.* — K. Czerwiński: *Barwy u zwierząt.*

W doskonale opracowanym szkicu historycznym dał prelegent rzut oka na teorye embryologiczne, tyczące się komórki jajowej. Preformiści, czyli zwolennicy teoryi przedistnienia, sądzili, że w jajku znajduje się już całkowicie wykształcony organizm przyszłego przedstawiciela danego gatunku, tylko w miniaturowych rozmiarach, że nic się nie tworzy, następuje jeno rozwinięcie (w dosłownem znaczeniu) zwiniętego jakoby zarodka. Teorya ta przetrwała do początków XIX wieku, kiedy przyjętą została przez naukę teorya epigenezy, postawiona przez znakomitego embryologa, K. F. Wolffa jeszcze w końcu XVIII wieku. Obala ona swą poprzedniczkę siłą wywodów logicznych. Jeżeli w jajku macierzystem znajduje się organizm zarodka ze wszystkimi narządami, to w jego komórkach płciowych powinien z kolei znajdować się zupełnie wykształcony zarodek przedstawiciela następnego pokolenia, i tak dalej bez końca. Teorya epigenezy, uważając konsekwencye stąd wynikające za niedorzeczność, twierdzi, że z pierwotnie jednolitego materyału komórki jajowej drogą rozmnażania się i ciągłego różnicowania, stosownie do funkcyi fizyologicznej, komórek w ten sposób powstałych, tworzą się jeden po drugim w pewnym określonym porządku narządy ciała.

Znakomity biolog polski, Jędrzej Śniadecki, wypowiedział się w swej „Teoryi jestestw organicznych" za tym właśnie poglądem, jeszcze zanim ten ostatni zyskał prawo obywatelstwa w nauce zachodnio-europejskiej. Spór epigenetyków z preformistami trwa jeszcze dotąd: w nowszych czasach wskrzeszoną została teorya przedistnienia pod nazwą neoewolucyonizmu (Hiss, Roux), lecz już nie w owej pierwotnej, naiwnej postaci. Neoewolucyoniści twierdzą, że pewne okolice komórki z góry przeznaczone są do wytworzenia pewnych, określonych okolic ciała, że w pierwszym podziale komórki jajowej już zaznaczona jest strona prawa i lewa, przednia i tylna zarodka (teorya mozaikowa Hissa-Roux). Dla zdobycia jakichś pewniejszych danych w tej zawiłej kwestyi biologicznej, rozpoczęto w drugiej połowie zeszłego stulecia badania doświadczalne w tym kierunku, które stworzyły nową dyscyplinę biologiczną p. n. embryologii do-

świadczalnej. Przekonano się już dziś, że rozmaite czynniki fizyczne, jak siła ciężkości, ciepło, światło, a także zmiany chemiczne w środowisku odżywczem zarodka, mają niezaprzeczony wpływ na jego rozwój; co więcej, przy zmienionych warunkach zewnętrznych można z zarodka jednego gatunku otrzymać istotę innego pokrewnego gatunku, a nawet innego rodzaju. Faktów takich dzięki skrzętnym poszukiwaniom gromadzi się coraz więcej i jest nadzieja, że zdołają one wyświetlić niejedną jeszcze dziś w tajemnicze mgły spowitą kwestyę biologiczną.

W odczycie swoim, napisanym polszczyzną bardzo poprawną, autor złożył dowód dużej pracowitości i umiejętności popularyzowania dość specyalnej dziedziny naukowej.

Istnieją dwie kategorye przyczyn, warunkujących ubarwienie zwierząt: fizyczne i chemiczne. Pierwsze, wspólne wszystkim zabarwionym przedmiotom, polegają na tem, że dzięki tej lub innej strukturze powierzchni ciała, jedne promienię bywają wchłaniane, a inne odrzucane (biała barwa piór ptasich); tęczowe mienienie się czyli iryzya również zależy od czynnika fizycznego t. zw. interferencyi świetlnej. Często jednak ubarwienie zwierząt występuje niezależnie od warunków fizycznych, a ma swe źródło w niezmiernie skomplikowanych procesach chemicznych, zachodzących w samym organizmie zwierzęcia. Badania nad hemoglobiną, barwnikiem ciałek krwi zwierzęcej, pozwalają przypuszczać, że z rozkładu hemoglobiny powstają różne inne barwniki, które są przez organizm wydzielane. Odbywa się to przeważnie w ten sposób, że specyalne komórki, t. zw. chromatofory, podchwytują wędrujące ziarenka barwników i unoszą je z sobą na powierzchnię ciała. Teorya Wallace'a główne znaczenie w powstawaniu barw u zwierząt przypisuje właśnie niezmiernej złożoności składu chemicznego substancyi organicznej, a zmiany w ubarwieniu według tej teoryi zależą od bardzo skomplikowanych procesów chemicznych, związanych z wzrostem osobników zwierzęcych. W dalszym ciągu prelegent zaznaczył wpływ zewnętrznych warunków na ubarwienie zwierząt, jak pokarmu, klimatu, flory i podał kilka bardzo charakterystycznych przykładów przystosowywania się barwy zwierzęcej do otoczenia w celu samoobrony.

Odczytowi p. C. możnaby zarzucić pewne braki. Rozpraszając się na szczegóły, nie ujął tej ciekawej kwestyi biologicznej z szerszego stanowiska poglądów ogólnych, nie podkreślił wyraźnie różnicy w zapatrywaniach neolamarkistów (Eimer-Spencer) i neodarwinistów (Weissmann) i już ani słówkiem nie wspomniał o zmianie, jaka zaszła w poglądach od czasów Darwina co do wpływu doboru płciowego na ubarwienie zwierząt. Końcowy ustęp odczytu o stosunku biologii do estetyki zawierał kilka uwag, niewybiegających po za oklepane komunały.

Odczyt ilustrowały umiejętnie dobrane obrazy niknące.

Dr. M. B.

LITERATURA I SZTUKA.

Z DZIEJÓW KRYTYKI POLSKIEJ.

Julian Klaczko.

I.

Przetłomaczone przez p. Antoninę Morzkowską i wydane 1900 r. (nakładem Władysława Okręta) ostatnie dzieło Juliana Klaczki: „Rzym i Odrodzenie," które wywołało tyle zasłużonych zachwytów, przywodzi nam na pamięć fakt, iż niegdyś autor ten i w literaturze polskiej zajmował bardzo wybitne jako krytyk stanowisko. Przypomnieć sobie tę jego działalność dzisiaj nie zaszkodzi.

Klaczko urodził się 6 listopada 1825 r. w Wilnie z rodziców żydowskich i nosił wówczas imię Juda, albo zdrobniale Judele. Już w trzynastym roku życia napisał i ogłosił drukiem zbiorek wierszy p. t. „Moja pierwsza ofiara" (Wilno, 1838), następnie tłomaczył na język hebrajski niektóre ballady Mickiewicza oraz „Mnicha" Korzeniowskiego. Zajął się jego osobą zacny pijar, ks. Antoni Moszyński i zwrócił nań uwagę literatów i publiczności czytającej artykułem drukowanym w bardzo rozpowszechnionym wówczas *Tygodniku petersburskim*. Zaczęto dużo mówić o młodym talencie i życzyć, by się rozwinął i wykształcił wszechstronnie. W r. 1842 wyszedł w Lipsku zbiór wierszy hebrajskich Klaczki p. t. „Dodajim" („Fiołki"), a w roku następnym autor ich wyjechał za granicę na studya uniwersyteckie, naprzód w Królewcu, potem w Heidelbergu, gdzie stał się ulubieńcem sławnego historyka Gervinusa, przejął się zasadami „liberalnemi," marząc o wolności powszechnej i w tym duchu pisując do czasopisma *Deutsche Zeitung*. Podczas „wiosny ludów," w roku rewolucyjnym 1848 znajdował się w W. Ks. Poznańskiem, a przejęty zgrozą, że „naród myślicieli," jak Niemców nazywano, deptał wbrew głoszonym przez siebie ideałom prawa narodowości, napisał ognistą broszurę, jako list otwarty do Gervinusa p. t. „Die deutschen Hegemonen" (Berlin, 1849).

Po upadku ruchów rewolucyjnych w Europie, przeniósłszy się do Paryża, zajmował się nauczycielstwem i pisaniem artykułów do wydawnictw francuskich i polskich. W r. 1853 ukazują się dwie jego rozprawki, jedna po francusku, druga po polsku, jakby zapowiedź, że przez lat wiele będzie biegła działalność literacka Klaczki niemal równolegle w tych dwu literaturach, dopóki w końcu obca nie pokona polskiej w zupełności. W rozprawie francuskiej (drukowanej w *Revue Contemporaine*) p. t. „Livres allemandes et slaves" poruszył między innemi kwestyę dantejską, która miała długo jeszcze potem zajmować jego umysł, aż w „Wieczorach florenckich" znalazła swe rozwikłanie; w rozprawce polskiej, pomieszczonej w „Pokłosiu," książce zbiorowej, wydawanej przez lat kilka w Lesznie, w W. Ks. Poznańskiem, dał rys krytyki porównawczej, oceniając wartość artystyczną dwu ballad: Bürgera „Lenory" i „Ucieczki" Mickiewicza.

Ta druga rozprawka („Lenora i Ucieczka" zajmie nas tu wyłącznie, gdyż jest najlepszym objawem pierwszej fazy krytycyzmu Klaczki. Przepojony jeszcze silnie zasadami ówczesnej krytyki niemieckiej, traktuje tu on drobne utwory poetyckie z bardzo rozległego stanowiska, wyszukując starannie ich „idei" i cech odbijających znamienne rysy „ducha" twórców. Z powodu dwóch ballad wywołuje wielkie cienie Homera i Shakespeare'a, o refleksyjności i plastyce, o „nożu ironii," rozpruwającym „złotą przędzę gminnego uczucia i gminnej wyobraźni," o „ambrozyjnym uśmiechu," obwiewającym „wszystkie dzieła helleńskiej sztuki," o charakterze protestantyzmu i katolicyzmu itd. Nie przeczę bynajmniej, iż kto potrafi dojrzeć cały *świat* „w proszku, w każdej gwiazd iskierce," dowodzi wielkiego talentu kombinacyjnego i może w dziedzinie nauki wielkie porobić odkrycia; nie przeczę również, iż w krytyce i publicystyce odgadywanie charakteru i dążności pisarzów z najdrobniejszych nawet rysów stanowi wielką zaletę; mimo to mniemam, że taki sposób postępowania, zastosowany do zwykłych, codziennych objawów życia lub literatury, prowadzi prostą drogą do przeceniania probiazgow, do naruszenia równowagi sądu, do fałszywych alarmów, do wydobywania bagnetu dla zabicia komara.

W późniejszej działalności Klaczki nie brakło fałszywych alarmów; w pierwszym utworze krytycznym, po polsku napisanym, widzimy naruszenie równowagi sądu, gdyż słowa, coby odpowiedniemi były w ocenie „Konrada Wallenroda," „Dziadów," „Pana Tadeusza," krytyk, uniesiony uniwersalno-historycznymi poglądami i uniwersalno-estetycznemi spostrzeżeniami, zastosował do ballady, mającej niewątpliwe zalety, lecz dalekiej od doskonałości. Któż dzisiaj, rozważnie patrzący na twory poezyi i znający rozwój geniuszu Mickiewicza, zgodzi się na domysł Klaczki, iż „Ucieczka" jest „może pierwszym bezwiednym symptomem głębszego religijnego kierunku w psychologicznym i poetycznym rozwoju naszego wielkiego wieszcza" i że „zdaje się w chronologicznym porządku bezpośrednio poprzedzać te utwory (Księgi pielgrzymstwa, Arcymistrz, Rozum i wiara, Mędrcy, Rozmowa wieczorna), których głęboki, religijny charakter zna każdy, a do których może ta ballada pierwszą, bezwiedną i *tajemniczą* stanowi przedgrawkę"? Któż w tem zestawieniu nie zauważy dziwnego pomieszania cudowności w duchu ludowym pojętej z religijnością duchową wewnętrzną? Któż dzisiaj może bez uśmiechu odczytać ten dytyrambiczny zachwyt, jakim tchnie Klaczko, malując wymownemi słowy grozę i przerażenie przy czytaniu opisu jazdy nocnej upiora z kochanką? Ponieważ artykuł Klaczki mało komu jest znany, muszę tu ustęp ten mimo jego długości przytoczyć, ażeby czytelnik mógł o tonie krytyki własne wyrobić sobie zdanie

„Gdy jeżdziec — powiada krytyk—ołtarzyk złoty spostrzega, każe tylko rzucić tę książkę; paciorki i szkaplerze już nazywa przeklętym sznurem i cackami; na samo zaś przeczucie najświętszego znaku Pańskiej Męki koń drży i staje; mnie i ciebie boli krzyż — powiada jeździec do rumaka w *strasznym swoją dwuznacznością sarkazmie*; ten znak, ostry jak strzała, twarz mu rani, skronie pali... i — precz mi, wreszcie woła, z tym ćwiekiem ze stali! Jakaż to *wspaniała klimaks* (!) i jakież mało z nią może iść w porównanie owo mnożenie strasznych zjawisk u Bürgera! A gdy jeszcze sobie *przywodzim* (! trzeba się domyślić: *na pamięć*) te wszystkio *tak porywające i przerażające*, a zarazem tak proste, tak bez żadnego sztucznego natężenia oddane drobniejsze szczegóły i wypadki fantastycznej podróży, które trzem owym główniejszym i stanowczym, z książką, z paciorkami i z krzyżem, towarzyszą; gdy *przywodzim* (!) ten dziki krajobraz z wilczemi źrenicami po łozach, z wystraszonemi w suchych jodłach wronami i z błędnym ognikiem przez grobowce przelatującym i którego błękitnym śladem leci jeździec; tę piekielną pogoń przez dziesięć skał, dziesięć rzek, dziewięć gór i nad przepaściami; ten zimny dreszcz dziewczyny, nierozumiejącej, biednej ni drogi ni jazdy, ni ruchów ni czynów, ni słów ni rozkazów swego kochanka; te rytmiczne napędzania konia w stałych, jednostajnych słowach jakiejś czarownej formy i w tych jednozgłoskowych i jednodźwięcznych rymach, których *tajemniczy i magiczny charakter* już się nam przy zaklęciu objawił; te wreszcie *krwawe żarty* martwca o swoim domu na górze Mendoga, do którego się w nocy jedzie, o swoim zamku zamczystym choć bez klamek, o swojej włości, do których pieszych gości nie wpuszcza; o tym murze, co jego zamków strzeże, a który jest cmentarzem, i o tych wieżach, które są krzyżami... *jakież wszechwładne i niewyczerpane nas wówczas opanuje przerażenie*, jakież zarazem podziwienie dla mistrza, co tak małymi środkami taki wielki umiał osiągnąć skutek!"

I my możemy podziwiać żywą i wrażliwą wyobraźnię krytyka, umiejącą sobie uplastycznić każdy szczegół wyczytany w utworze i doprowadzić go do olbrzymich rozmiarów; i my składamy hołd siłe i ob-

fitości słowa, które choć czasem niepoprawne, nigdy czczem nie jest. Zapewne, jest Klaczko zbyt potężnym władcą stylu, aby mu tenże starczył na wypowiedzenie wszystkiego; prawda i to, że zapał do „Ucieczki“ nie udziela się czytelnikowi, bo ten zapał w gruncie rzeczy jest chłodny, retoryczny tylko; lecz bądź co bądź czyż to nie jest nadużyciem estetycznem, gdy o rzeczach drobnych, choćby prześlicznych, mówimy w takim tonie, jak o wielkich arcydziełach?

Jeżeli usuniemy na bok tę stronę rozbioru krytycznego, to w rozprawce Klaczki znajdziemy nietylko gruntowną znajomość literatury powszechnej, nietylko oczytanie filozoficzno-estetyczne, ale także niepospolitą bystrość w odkrywaniu i ujmowaniu cech znamiennych oraz trafność w charakteryzowaniu rodzaju twórczości Bürgera i Mickiewicza.

Klaczko w tym artykule był estetykiem i psychologiem na wzór Gervinusa; miał jednakże już i teraz pewien cel uboczny, mogący się nazwać publicystycznym; chciał mianowicie wykazać wyższość „Ucieczki“ nad „Lenorą.“ wyższość Mickiewicza nad Bürgerem. Dokonał tego bez trudu i przy końcu swej „skromnej paraleli“ wyznał, iż przy tej pracy ukontentowaniu estetycznemu wyrównywało patryotyczne.

Pierwiastek ten, małą tylko ilością uwydatniający się w pierwszej tej polskiej rozprawce, przybrał charakter zasadniczy w dalszych, choć nie zawsze dla sprawienia „ukontentowania.“

Klaczko zbliżył się w Paryżu z księciem Adamem Czartoryskim i jego otoczeniem, tak zwanym „hotelem Lambert“ i podzielił jego religijne i polityczne przekonania i dążenia. Nie mam bezpośrednich danych, wyjaśniających przemianę wolnomyślnego demokraty, a bodaj radykała, na religijnie nastrojonego zachowawcę, ale ubocznie wolno widzieć w jednym ustępie rozprawy francuskiej o Zygmuncie Krasińskim szkic tej wewnętrznej metamorfozy. Mówi w nim Klaczko o umysłach entuzyastycznych, pokładających bezbrzeżne nadzieje na ruchu europejskim z r. 1848, a zawiedzionych srodze późniejszą ogólną reakcyą. „My wszyscy — powiada — czyż nie byliśmy niegdyś upojeni czarodziejskiemi snami o postępie nieskończonym i czyśmy się czynem albo życzeniem nie stowarzyszali z tymi, co w ciemnościach pracowali nad budową przyszłości? Był czas, kiedy każda nowa doktryna znajdowała u nas przyjęcie serdeczne, a każda utopia — uśmiech życzliwy. Nieomylność tłumów stała się dla nas dogmatem, organizacya pracy podobała się nam chwilami, socyalizm mógł mieć w sobie coś dobrego, a człowiek prawdziwie liberalny był dosyć blizkim zgodzenia się na kobietę wolną. Potem nadszedł dzień, kiedy te wszystkie duchy długo wywoływane lub wielbione nagle stanęły przed nami rozkazująco, groźnie, domagając się, byśmy spełnili swe obietnice i swe marzenia, kiedy motłoch zaczął się tarzać w tej szczęśliwości, którąśmy go wabili,—a myśmy się cofnęli z przerażenia. Wówczas, dla ocalenia społeczeństwa zagrożonego, odwołaliśmy się do Boga osobistego, wcielonego, pomocnego, a dotąd zbyt zapomnianego; pochwyciliśmy nawet za broń rdzewiejącą od wieków, i schroniliśmy się poza resztki tronów i ołtarzy, istniejące jeszcze na ziemi. Socyalizmowi przyszłości przeciwstawiliśmy socyalizm przeszłości. i przejęliśmy się nagłą czcią dla wspomnień, instytucyi i nadużyć nawet feudalizmu, i z uśmiechem słuchaliśmy, gdy mówiono o postępie. Postęp — mówiliśmy jak hr. Henryk w Nieboskiej Komedyi—i myśmy niegdyś weń wierzyli, ale nie o to teraz już chodzi, dzisiaj chodzi już o stan zdziczenia! Niestety! w tej walce świętej i słusznej znaleźliśmy się tuż obok dziwnych pomocników, i pod sztandarami również niekiedy dziwnymi, i wraz z niegodziwemi uroszczeniami mas barbarzyńskich odtrąciliśmy niejedno upragnione domaganie się ludów cywilizowanych... Wszelki opór przeciw uciskowi wydawał się nam wówczas wstrętnym, każdy krzyk wolności obejmował nas strachem, i mogliśmy doprawdy powtórzyć błazeńsko tragiczne wyznanie Falstaffa, żeśmy się stali tchórzami przez sumienność. Żadnego upokorzenia nie oszczędzono dumie naszej, żadnego odwołania dawnej wiary naszej, żadnego niepokoju, żadnego wyrzutu naszemu najwewnętrzniejszemu uczuciu“...

(C. d. n.).

P. Chmielowski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

N. J. Popławski: *Hajduczek*, komedya w 4 aktach, przerobiona z powieści Sienkiewicza p. t. „Pan Wołodyjowski.“ — Labiche: *Cel upragniony* czyli *Polowanie na zięcia*, komedya w 4 aktach, tłomaczona z francuskiego.

Znacie historyjkę o panu Michale Wołodyjowskim i jego małżeństwie z Basią?— powiedział sobie p. N. I. Popławski. — No to posłuchajcie, jak ona w moj przeróbce wyglądać będzie na scenie“. Znacie przeróbkę p. Popławskiego z teatru ogródkowego — wpadła w ton bohatera komedyi fredrowskiej reżyserya teatru Rozmaitości — zobaczcież teraz, co *my* z niej uczynimy u siebie. Tą drogą, dzięki powtórzonemu dwukrotnie eksperymentowi starego Jowialskiego, bezwzględni wielbiciele Sienkiewicza mają znów sposobność przebywać przez godzin parę w zaczarowanym świecie bohaterów trylogii, wydać kilka entuzyastycznych okrzyków i uronić parę łez zachwytu i rozrzewnienia, a nadewszystko usłyszeć ze sceny garść znanych wybornie konceptów Zagłoby, do których zwłaszcza dałby się zastosować przysłowiowy zwrot Jowialskiego.

Nie powiedziałbym jednak, aby znakomity powieściopisarz zaciągnął jakiś nadzwyczajny dług wdzięczności względem autora, który uscenizował pierwszą część „Pana Wołodyjowskiego“, lub tych jego kolegów warszawskich (p. Popławski jest zarazem aktorem), którzy w tej przeróbce występują. Sądzę nawet, że wyrządzili mu oni wcale nieszczególną przysługę.

Dowiedzioną jest rzeczą, że przerabianie utworów powieściowych na dramatyczne daje najczęściej w rezultacie rzeczy poronione, zakrawające niekiedy na smutną parodyę pierwowzoru. I inaczej być chyba nie może. Sama logika artyzmu w powieści i dramacie opiera się niewątpliwie na zgoła odmiennych zasadach. W pierwszej podstawą jest opowiadanie, płynące bezpośrednio od autora. Czyny bohaterów w tem oświetleniu dopiero otrzymują niezbędne uwypuklenie i umotywowanie. W dramacie, przeciwnie, winny one poniekąd przemawiać same za siebie, łączyć się i kojarzyć w całość zwartą, przemawiającą do widza potęgą prawdy bezwzględnej, będącej niejako wyciągiem psychologicznym życia, jego uogólnieniem i filozofią. Wykrojenie z powieści kilkunastu scen najjaskrawszych, przeniesienie żywcem dyalogów jej do teatru — nie tworzy jeszcze dzieła dramatycznego, a na takiej mechanicznej przeważnie robocie opiera się właśnie większość tego rodzaju przeróbek, „Hajduczek“ zaś p. Popławskiego więcej, niż inne. Więc też mamy w nim rozmowy, prowadzone w powieści przez bohaterów Sienkiewicza, mamy archaiczny język i dawne stroje, lecz brak za to elementarnych warunków prawdy życiowej, brak, ściśle mówiąc, nietylko ludzi z tamtej odległej epoki, lecz nawet poprostu — postaci żyjących wogóle, postaci, poddających swe czyny jakimkolwiek wymaganiom zrozumiałej logiki uczuć w szczególności.

Co więcej, autor przeróbki podkreślił jakby umyślnie i doprowadził do karykatury te błędy psychologiczne, które nietrudno zauważyć w samej powieści, że przypomnimy choćby raptowny zwrot Wołodyjowskiego od sentymentalnej Krzysi do wichrowatej Basi. Razi on mniej w dziele Sienkiewicza, gdzie bądź co bądź czytelnik ma do czynienia z olbrzymim talentem narracyjnym, który zresztą rozciąga rzecz całą na jakieś dwie czy trzy doby. W „Hajduczku“, w ciągu kwadransa niespełna, oglądamy wybuchy rozpaczy kochliwego pana Michała z powodu „rekuzy“ Krzysi i zupełne pocieszenie się małego rycerza przy boku zakochanej w nim Basi; drżeć mamy z obawy o życie pięknego Ketlinga i widzimy go po chwili pełnego szczęścia w objęciach pana Wołodyjowskiego, co wszystko razem wywiera już wprost operetkowe wrażenie.

Niektóre inne błędy przeróbki p. Popławskiego zacierają się nieco skutkiem popularności dzieł Sienkiewicza. Widzowie, pamiętający dobrze „Pana Wołodyjowskiego“ w wydaniu książkowem, mogą sobie łatwo dośpiewać w duszy wiele rzeczy, nie tłomaczących się należycie w komedyi; rzecz prosta jednak, że nie może to wywierać wpływu na wartość artystyczną „Hajduczka“, która, szczerze mówiąc, daje się zredukować do zera.

Z drugiej strony ta sama popularność Sienkiewicza, w połączeniu z niezwykłą plastyką, będącą zasadniczym rysem jego talentu, utrudnia, jak się zdaje, zadanie aktorów. Postaci takie, jak Zagłoba, Wołodyjowski, poniekąd nawet zuchowata i energiczna Basia, stały się już typami skończonymi, które czytelnicy i wielbiciele Sienkiewicza noszą niejako w duszy, odbite aż do szczegółów drobnych. Nieznaczne nawet odstępstwa od tych wytworzonych już zgóry wzorów wydają się rażącemi, a cóż dopiero, gdy artystom brak wprost warunków, niezbędnych do odtworzenia tych postaci?

P. Rapacki charakteryzuje się wybornie na Zagłobę, lecz w samej naturze talentu znakomity ten skądinąd artysta nie ma szczerej jowialności i niegasnącego ani na chwilę humoru, bez których niepodobna wcielić się w rolę „polskiego Falstaffa“. To też o wiele lepszym Zagłobą ma być podobno p. Frenkiel. Pani Irena Trapszo przejęła się zanadto konwencyonalnemi rolami współczesnych teatralnych „naiwnych“, aby się mogła cofnąć duszą o półtrzecia wieku i odtworzyć charakterystyczną postać dziewczęcia polskiego z tamtej epoki, a zwłaszcza takiej Basi Drohojewskiej. P. Roland liczy zanadto na efekty głosowe, zapominając, że prawdziwe uczucie nietylko się krzykiem wyraża. Względnie najlepiej wypadła rola Ketlinga, odtworzona z uczuciem przez p. Śliwickiego. I tu jednak radzibyśmy chwilami widzieć więcej harmonii między wyrazem twarzy artysty, a tem, co w danej chwili ma niby dziać się w jego duszy.

Jeżeli mimo wszystko gotowi jesteśmy przyznać, że takie nawet liche przeróbki sceniczne, jak „Hajduczek“, mogą mieć z różnych względów dla pewnej kategoryi widzów niejaką racyę bytu na scenie, to wprost zrozumieć nie możemy, dla jakiej publiczności t. zw. „miłośnicy sceny“ przeznaczają bezmyślne farsidła w rodzaju odegranego świeżo, na rzecz Towarzystwa Dobroczynności „Celu upragnionego“ Labiche'a. Publiczność, która zwykła karmić się tą strawą, znajdzie ją zawsze znacznie lepiej przyrządzoną w dwu już dziś w mieście naszem teatrach rządowych, wyspecyalizowanych w kierunku farsy

i operetki. Ta zaś, która wybiera się na przedstawienie amatorskie, zachęcona celem dobroczynnym, doznaje bardzo przykrego zawodu, znalazłszy się niespodziewanie w ordynarnej pod względem artystycznym atmosferze płaskich konceptów i napół cyrkowych popisów, w której w dodatku i sami amatorowie, przyzwyczajeni do repertuaru lepszego, niebardzo obracać się umieją.

Niejednokrotnie wypowiadaliśmy pogląd, że podobne grono amatorskie, jak nasi „miłośnicy sceny", jest zjawiskiem dodatniem i pożądanem, o ile usilują służyć naprawdę sztuce, o ile zwłaszcza uwzględnia te jej strony, które z tych czy innych powodów zaniedbywane są przez teatry stałe. To też wszystkie poprzednie usiłowania „miłośników" na tej drodze doznawały zawsze ze szpalt *Prawdy* gorącej zachęty i uznania.

Z tem większą stanowczością mamy chyba prawo potępić kierunek nowy, który znalazł wyraz w powiększeniu repertuaru „miłośników" tego rodzaju „komedyą", jak owa sztuka Labiche'a — podobno dlatego głównie, że do gustu niektórych amatorów takie właśnie dzieła sceniczne przypadają najbardziej. Ależ i owszem, szanowni „miłośnicy sceny", grywajcie je sobie jak najczęściej, czyńcie to jednak w kółku zamkniętem „miłośników" takiej wzniosłej „sztuki", bez pobierania opłaty — chociażby na cel dobroczynny. Z widzów, którzy się zebrali na przedstawieniu piątkowem, niejeden zapewno dopłaciłby chętnie za to, żeby ani sztuki Labiche'a, ani gry w niej waszej—nie widzieć wcale.

Wl. Bukowiński.

POEZYE

Ada Negri.

Przebudzenie.

Niekiedy spada na mnie nuda niepojęta,
Zniechęcenie, mrok ciężki, martwota kamienia..
Jakby snami zmęczona, lękiem ogarnięta,
Dusza niczem nie zdradza swojego istnienia.

Zda się—wszystko zamarło we mnie. Nic nie boli,
Nie marzę już, nie walczę. Z obojętnem okiem
Błąkam się pośród tłumu bez celu, bez woli,
Jak ptak, co gniazda nie ma pod niebem szero-
[kiem.

Idę, idę bez walki, bez chwały, radości,
Żadne bóstwo się do mnie znikąd nie uśmiecha.
Tak mi zimno... tak zimno... Myśl tonie w ciem-
[ności,
Pamięć głucha na ziemskie i niebiańskie echa.

Lecz nagle dziwne jakieś zjawiają się moce:
I w jedno oka mgnienie wszystko się przemienia:
Chwila szału, radości — i — w głębi istnienia
Inna, inna już dusza skrzydłami trzepoce.

Wyobraźnia w czarowne obrazy bogata
Zakwita jako łąka zbudzona na wiosnę,
Otrząsa się z uśpienia i... ptaszę radosne
Z czarnej nocy do słońca majestatu wzlata.

I gdy pierzchają mroki tej posępnej nocy,
A z niebios czystych spada promyk za promykiem,
Szalonym i radośnym wybucham okrzykiem—
Mrukiem lwa zbudzonego w poczuciu swej mocy!

Tłom. *Anna Bronisławska.*

NA MARGINESIE.

—◆—

Dwustronność. Bohusz wprowadził przed laty w fejletonie pewną nauczycielkę, która sama wyznawała w zakresie religijnym zasady możliwie postępowe, jednak pupilów swoich chowała pod rządem najsurowszej nauki katechizmowej. Pociągnięta do odpowiedzialności przez fejletonistę, miała tłomaczyć się: „niechaj własnym rozumem zdobędą moje przekonania!."

Jeżeli wierzyć zapewnieniom etyków francuskich, każdy Francuz nosi w sobie duszę takiej nauczycielki. Przysięga na Woltera, zwalcza kościół i księdza, wyśmiewa wierzenia i obrządki, ale dzieci powierza jezuitom, a żonę posyła do kościoła. Podobno wybitni politycy republikańscy w Izbie otwarcie do boju z klerykalizmem stający, po cichu w zaciszu *at home*'u na domowych ołtarzach palą mu kadzidła. Juliusz Ferry piorunował przed laty, że prawa szkolne będą posiane na wodzie, jeśli obywatele nie przystosują ustroju życia swego do tekstu, na który pozornie zgodę swą słownie wyrazili. Przed kilku dniami odbył się ślub prezydenta Izby, Deschanela Uroczystości kościelne zgromadziły śmietankę bulwarów arystoi plutokratycznych, których urodziwy żongler polityczny jest bożyszczem. Najwyżsi dostojnicy państwowi słuchali w milczeniu, jak duchowny przemawiał do oblubienicy „Mademoiselle," pomimo że od trzech dni była już małżonką cywilną Deschanela. Na kilka miesięcy przedtem ten sam poliszynel, który „dla przykładu" ubrał się do ślubu w długi, jasny surdut i w liliowy krawat — kazał zaprzeczyć wiadomości kolportowanej przez dzienniki, jakoby nie był ochrzczony — itd. itd.

W świadomości takich oto obyczajów etycy francuscy krzątają się około założenia stowarzyszenia „szczerości" w zakresie wychowywania moralnego i religijnego młodzieży. Statuty związku chcą oprzeć na następujących założeniach: „1) wychowanie religijno-etyczne możliwem jest tam tylko, gdzie stosunki rodziców i dzieci oparte są na zupełnej szczerości; 2) złem jest, jeżeli ojciec uczy albo każe uczyć dzieci rzeczy, które znajdują się w zupełnej sprzeczności z jego przekonaniami. Stowarzyszenie tedy chce przyjść z pomocą członkom i umożliwić im szczerzenie przekonań własnych w rodzinie a zarazem wyzbycie się tradycyj, przyzwyczajeń przekazywanych z pokolenia na pokolenie, a dziś już wartości moralnej nie posiadających." Dotąd wszystko w porządku. „Ale w Maćku taka dusza, że choć umarł, to się rusza" — tedy przyczepiono do odezwy następujący kwiatek, na dowód oczywisty, że pisali ją... Francuzi. „Uprasza się o zaznaczenie, czy członek życzy sobie pozostać „bezimiennym," czy też pozwala na ogłoszenie nazwiska, albo obiera sobie pseudonim (?!). Zupełna dyskrecya zapewniona." Jakże tę *nieszczerość* pogodzić z godłem stowarzyszenia? Jakżeż głęboko Moliere, pisząc swojego „Świętoszka," zajrzał w duszę francuskiego tartuffe'izmu! Sądzilibyśmy w każdym razie, że zarząd stowarzyszenia powinien zacząć pracę pielenia od tępienia perzu w własnej duszy.

Ale, omal nie zapomnieliśmy o najważniejszem: *de te fabula narratur!*

Reforma pisowni i składni francuskiej. Akademia francuska i ministeryum oświaty postanowiły za wspólną zgodą wprowadzić niektóre ułatwienia do pisowni francuskiej. W *Journal officiel* z 12 marca r. b. ogłoszono te nowe prawidła, z których najciekawszemi są dotyczące używania przedimka cząstkowego *du, de la, des* przed przymiotnikiem poprzedzającym rzeczownik, co dotąd tylko wyjątkowo dozwolonem było. Na przyszłość więc pisać się będzie „des bons fruits". Podobnie rzecz się ma z liczebnikami *quatre vingt* i *cent*, które odtąd pisać mają z literą *s* na końcu bez względu na to, czy po nich następuje inny liczebnik czy nie, a więc: quatre vingts hommes i quatre vingts dix hommes, trois cents hommes i trois cents quarante hommes. Zarzuconą ma być forma „mil" używana dotąd przy liczeniu lat, a wprowadzona natomiast jednostajna pisownia tego wyrazu „mille" np. l'an mille huits cents quatre vingts dix. Znosi się również łącznik w formie pytającej między czasownikiem i zaimkiem Est il? Takie wyrażenie jak: c'est les montagnes, c'est nous, c'est vous, zamiast ce sont les montagnes etc., nie ma być nadal uważanem za błędne; należy jednak pisać, jak dotąd, ce sont eux.

Niewolno używać przeczenia *ne* nietylko po czasownikach *empecher, défendre*, ale także po słowie *craindre, douter, nier* i w takich zdaniach jak: „l'annee a éte meilleure qu'on l'esperait". Dla imiesłowu czasu przeszłego mają być tylko dwa obowiązujące prawidła: imiesłów czasowników odmienianych ze słowem „être" zgadzać się będzie z podmiotem zdania, a imiesłów czasowników odmienianych ze słowem „avoir" — z przedmiotem, jeżeli ten go poprzedza.

Na zakończenie, stawiają także zasadę: żeby omyłek wynikających z nieznajomości rozmaitych drobiazgów gramatycznych nie uważać za błędy językowe.

WIADOMOŚCI URZĘDOWE

Petersburg, 19 marca. (T. A. R.). *Prawit. Wiest.* zamieszcza co następuje:

„Z powodu rozpowszechnionych kłamliwych wieści o szczegółach zaburzeń ulicznych, które zdarzyły się w niektórych miastach Cesarstwa, minister spraw wewnętrznych uważa za konieczne podać do wiadomości publicznej poniższe szczegóły, otrzymane przez niego od władz miejscowych:

„D. 19 lutego w Petersburgu, po ukończeniu liturgii i ogólnego nabożeństwa w soborze Kazańskim, część znajdującej się w świątyni uczącej się młodzieży, do której przyłączyły się i osoby stojące u wejścia do soboru, zgromadziła się na placu Kazańskim pomiędzy soborem i skwerem, u skrzydła kolumnady, przyczem niektóre osoby znajdujące się w tłumie usiłowały wygłaszać mowy. Na wezwanie policyi do rozejścia się, zebrani odpowiedzieli odmownie, a z tłumu odezwał się rozkaz: „Panowie, wszyscy zbitym tłumem na Newski!"

W odpowiedzi na to wezwanie tłum, śpiewając pieśni, zwrócił się na Newski Prospekt, zajmując część ulicy i cały chodnik. Wezwany natychmiast oddział policyi wepchnął tłum ten na podwórze gmachu petersburskiego zarządu miejskiego, podczas czego nikt szwanku na ciele nie poniósł. Na podwórzu zarządu uczestników zebrania spisano w liczbie 224 osób, w której studentów różnych wyższych zakładów naukowych stolicy było 71, słuchaczek różnych kursów żeńskich 128, innych kobiet 20, oraz 25 osób postronnych. Następnie zapisanych rozpuszczono do domów. Względem uczestników wymienionych zaburzeń zarządzono śledztwo, któremu nadano odpowiedni kierunek.

Tegoż dnia w Charkowie po ukończeniu nabożeństwa w soborze i w cerkwi uniwersyteckiej, w czasie wyjścia pobożnych ze świątyni, oddzieliło się od nich około 100 studentów uniwersytetu, oraz instytutów technologicznego i weterynaryjnego i ruszyli w grupie do gmachu uniwersyteckiego przy dźwiękach pieśni. Z powodu odmowy zastosowania się do żądania policyi, wymagającej rozejścia się, byli oni otoczeni przez wezwaną sotnię kozaków, zaprowadzeni do zarządu policyjnego i zapisani. Tymczasem naokoło gmachu zarządu policyjnego stopniowo tworzyło się zbiegowisko, złożone z uczącej się młodzieży i domagające się uwolnienia aresztowanych. Ponieważ tłum, do którego przyłączyło się i wielu ciekawych, na żądanie policyi nie rozchodził się, osoby zauważone w zachęcaniu do tych manifestacyj również zaaresztowano.

Wieczorem tłum uczącej się młodzieży, do której przyłączyło się wielu ciekawych, usiłował urządzić demonstracyę przed oknami gazety *Jużnyj Kraj*, dokąd wyruszono z pieśniami, krzycząc i gwiżdżąc, lecz był w czasie właściwym otoczony przez wezwane wojsko i zaprowadzony do zarządu policyjnego celem spisania nazwisk.

Po usunięciu, tej ostatniej grupy, do pozostałych na ulicy znów przyłączył się tłum różnego powołania ludzi, który około teatru dramatycznego wznosił okrzyki, czynił szum i śpiewał pieśni. Wezwane wojsko wepchnęło tłum w sąsiednie ulice, a następnie rozproszyło go. Aczkolwiek gubernator otrzymał 8 podań o otrzymanych uszkodzeniach na ciele i uderzeniach, lecz z tych, wskutek dokonanej obdukcyi lekarskiej, stwierdzone zostało tylko jedno uszkodzenie. Względem uczestników pomienionych rozruchów również wdrożono śledztwo; z liczby 136 aresztowanych pozostawiono w areszcie 24, a pozostałych uwolniono d. 22 lutego.

D. 23 lutego (8 marca) w Moskwie, o godz. 12 w południe, pod gmachem starego uniwersyte-

tu zaczęli gromadzić się naprzód studenci uniwersytetu, a następnie i wychowańcy innych wyższych zakładów naukowych, słuchaczki różnych kursów żeńskich i inne kobiety. Bez względu na wezwanie policyi do rozejścia się, tłum ciągle wzrastał i około godz. 1 po połud., odepchnąwszy stróżów od krat, przeszedł na zewnętrzne podwórze uniwersytetu, a następnie, wywaliwszy drzwi, w liczbie około 300 osób wtargnął do sali Aktowej, gdzie otworzył zebranie, wzywając na nie swoich towarzyszów, stojących na ulicy i na podwórzu w liczbie dochodzącej również do 300 osób, przyczem zgromadzeni podburzali publiczność, rzucając jej różne wezwania.

Ani uspakajające przemówienia policyi na ulicy, ... i w inspekcyi sali Aktowej, nie mogły zniewolić zebranych do rozejścia się i zaniechania zaburzeń, wskutek czego zebrani na ulicy i w podwórzu uniwersytetu byli w tenże sam sposób zaprowadzeni do rajtszuli, potem zapisani w liczbie 630 osób, między któremi okazało się 517 wychowańców różnych wyższych zakładów naukowych, 12 osób postronnych i 101 kobiet. Wszyscy aresztowani podczas przeprowadzania ich do rajtszuli zachowywali się burzliwie i wyzywająco i nie uwzględniali wcale wymagań policyi. Wieczorem zaproponowano kobietom opuścić rajtszulę i udać się do domów, z czego skorzystało 93 kobiet, pozostałe zaś 6 wolały przenocować w rajtszuli, razem z innymi aresztowanymi.

Rano 24 lutego (9 marca) 53 z pośród zatrzymanych odstawiono pod konwojem do więzienia. W nocy na 25 lutego (10 marca) 21 studentów instytutu mierniczego oddano władzy naukowej, a pozostałych 463 odprowadzono partyami do więzienia etapowego.

D. 24 lutego tłum, złożony przeważnie z młodzieży szkolnej, a dochodzący chwilami do 700 osób, starał się nawiązać stosunki z nocującymi w rajtszuli i rozmawiał z nimi przez potłuczone w niektórych oknach gmachu szyby.

Policya, przy pomocy seciny kozaków, niejednokrotnie rozpraszała gromadzących się, lecz około godz. 5 wieczorem tłum, który zebrał się stopniowo do liczby blisko 300 osób, skierował się w stronę ul. Nikitskiej i bulwaru Twerskiego, śpiewając i hałasując, a stąd na ul. Twerską, gdzie przy pereułku Briusowskim tłum został przez władze wepchnięty na ulice boczne i rozproszony. W d. 27 lutego (10 marca) około godz. 1 po północy, tłum złożony ze 100 przeszło osób, studentów i kobiet, niewpuszczony na ul. Twerską, przeszedł, śpiewając, po Petrówce i został zotoczony przez władze u wrót Petrowskich.

W niedzielę, 25 lutego (10 marca) tłum różnorodny, pod przewodnictwem wychowańców wyższych zakładów naukowych i słuchaczek różnych kursów żeńskich, wywołał w ciągu dnia zawichrzenia w głównych dzielnicach miasta, usiłując przedostać się na ul. Twerską; usiłowaniom tym położyły tamę władze policyjne przy pomocy dwóch secin kozaków. Wieczorem, gdy pobudzony tłum zaczął rozbijać szyby latarni ulicznych na ul. Bolszaja i Nikitska i bulwarze Strastnym, wezwano, celem ostatecznego zakończenia nieporządków i ze względu na nadchodzącą noc, do pomocy policyi dwa szwadrony 3-go sumskiego pułku dragonów i zaczęto aresztować wichrzycieli. Jedna część, złożona z 400 mniej więcej osób, została otoczona i odprowadzona do maneżu, druga, blizko wrót Strieteńskich, do domu Worobjewa. Po przesłuchaniu zatrzymanych w maneżu i w domu Worobjewa, zaaresztowano 16 studentów, dwóch byłych studentów i jednego lekarza, jako przywódców zaburzeń; pozostałych, po zapisaniu nazwisk, puszczono na wolność. Ogółem, łącznie z wyżej wymienionymi, w ciągu dnia za nieposłuszeństwo policyi i przewodniczenie w zaburzeniach, zaaresztowano 34 osoby, a między niemi: studentów uniwersytetu i wychowańców innych wyższych zakładów naukowych 21; słuchaczek różnych kursów żeńskich 9 i innych osób 4.

D. 26 lutego (11 marca) około godz. 2 po poł. na placu Ochotnoriadzkim utworzył się tłum, złożony ze 150 mniej więcej ludzi: studentów, kobiet i innych osób; władza policyjna rozdzieliła tłum, część jego około 85 osób okrążyła i wprowadziła do maneżu, gdzie zapisano ich nazwiska. Między niemi było 31 studentów, z których dwóch, jako najbardziej winnych, zaaresztowano. Tego samego dnia do cyrkułów policyjnych przyprowadzono za usiłowanie wzniecenia zawichrzeń ulicznych w różnych dzielnicach miasta 25 osób, a między temi 15 studentów. Z liczby zatrzymanych zostawiono pod strażą 2 mężczyzn i 1 kobietę.

W niedzielę 4-go (17) marca o godz. 2-ej po południu, na bulwarze Twerskim, zebrał się demonstracyjnie tłum, złożony z 70 mniej więcej osób, przeważnie wychowańców szkoły technicznej, otoczony został przez policyę i wprowadzony na dziedziniec domu sąsiedniego. Przy zatrzymaniu tego tłumu zebrała się grupa kobiet i usiłowała wzbudzić współczucie śród ciekawych przechodniów przez wydawanie sądów o postępowaniu policyi. Kobiety te, w liczbie 9, zostały zatrzymane, poczem uczestników zawichrzenia, w liczbie 67 zapisano.

Aresztowano z pośród nich 11 uczniów szkoły technicznej, 1 studenta uniwersytetu moskiewskiego i 3 kobiety. Podczas wszystkich tych odbywających się w Moskwie w dni rzeczone zaburzeń, nie było przy zatrzymywaniu i aresztowaniu winowajców żadnych starć i walk tłumu z policyą, oraz z zawezwanymi przez nią na pomoc oddziałami wojsk. Co do wszystkich winowajców przedsięwzięły śledztwo odpowiednie władze naukowe i administracyjne.

D. 4 (17) b. m. w Petersburgu około godz. 11 rano, do soboru Kazańskiego zaczęły zbliżać się grupy osób różnych sfer, które ulokowały się w samym soborze, naokoło niego i na placu. Około godziny 12-tej tłum powiększył się znacznie przez przybycie studentów wyższych stołecznych zakładów naukowych i słuchaczek różnych kursów żeńskich, tak, że przedsionek kolumnady soboru, skwer i podjazdy boczne były nabite tłumem w liczbie około 3,000 osób. Na żądanie policyi, wzywającej tłum do rozejścia się, większość obecnych nie zwracała żadnej uwagi. W tłumie przechodziły z rąk do rąk różne kartki, a jeden ze studentów, w pobliżu wrót soboru, zaczął głośno czytać odezwę od studentów petersburskich, wyszczególniającą różne żądania. Dały się słyszeć krzyki. Wskutek tego został zawezwany wzmocniony oddział policyi i kozaków, który odłączył zupełnie tłum, zgromadzony na placu, od otaczającej go publiczności, zebranej przeważnie na Newskim Prospekcie.

Przy ukazaniu się oddziału otoczony tłum, cofając się ku drzwiom soboru, zaczął rzucać w policyę i wojsko różnymi przedmiotami. Przytem kilku studentów próbowało rozwinąć czerwone i białe flagi z różnymi napisami; flagi te niezwłocznie im odebrano. Z prawej strony soboru część tłumu rozpoczęła walkę z rozpraszającym ją oddziałem policyi i kozaków, przy pomocy kijów, wziętych z przedsionka żelaznych prętów, przytrzymujących dywany, rzucając kaloszami oraz śniegiem zlodowaciałym i kamie-
niami.

Wówczas, młotkiem żelaznym, bez rękojeści został zraniony w głowę dowódca 2-ej seciny lejb-gwardyi Jego Cesarskiej Mości pułku kozackiego, essauł Isiejew, przyczem uderzenie było tak silne, że oficer ten, skrwawiony, musiał usunąć się z szeregów. Na ten widok otaczający go kozacy zsiedli z koni i ruszyli w środek zbiegowiska w przedsionku, gdzie między nimi a tłumem rozpoczęła się walka; część walczących została wyparta na plac, otoczona przez wojsko i poprowadzona do aresztu, część zaś rzuciła się do soboru, przyczem niektórzy zostali w czapkach, a nawet palili papierosy. Na uwagę szwajcara co do zaniechania takiego kalania świątyni, jeden ze studentów wymierzył mu policzek. Bez względu na wynikłe w świątyni rozruchy, msza była odprawiona do końca. Większość modlących się opuściła świątynię przez drzwi boczne.

Po zamknięciu Wrót Cesarskich proboszcz wszedł na ambonę celem uspokojenia wichrzycieli, lecz naprożno; na propozycyę opuszczenia soboru, jeden ze studentów, który stał za proboszczem, wziął go za rękaw szaty, radząc mu, aby się sam oddalił, jeśli chce uniknąć nieprzyjemności, poczem tłum odsunął się do tylnej ściany soboru na naradę, co robić dalej. Większość postanowiła nie wychodzić z kościoła pojedyńczo i zniszczyć wszystko, co kto miał przy sobie kompromitującego.

Wówczas weszła policya i skłoniła pozostały tłum, około 300 osób, do wyjścia z soboru i udania się do cyrkułu kazańskiego. Plac przed soborem opróżniony był z czyniących manifestacye około godziny 1-ej, potem zaś policyanci i kozacy zmuszeni byli przez kilka godzin zapobiegać gromadzeniu się na Newskim Prospekcie ciekawych, których, na nieszczęście, zbierało się bardzo dużo między ulicą Sadową i mostem policyjnym, co ogromnie krępowało działanie policyi.

Ogółem aresztowano 4 marca 760 osób, w tem 339 studentów, 377 kobiet, przeważnie słuchaczek różnych kursów żeńskich, i 04 inne osoby. Podczas bójki z tłumem zraniony był essauł Isiejew i silne uderzenie otrzymał komisarz, podpułkownik Wilczewski. Otrzymało uderzenia i rany, wymagające pomocy lekarskiej, ale nie groźne, 20 policyantów i 4 kozaków, a z pośród aresztowanych 18 mężczyzn i 14 kobiet.

Celem wykrycia sprawców zaburzeń, prowadzi się śledztwo."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Bilans Towarzystwa muzycznego za r. 1901 wykazuje przewyżkę wydatków nad dochodami w sumie 66 rb. 45 kop. i zmniejszenie się majątku Towarzystwa o 806 rb. Majątek ten wynosi obecnie 9,475 rb. Przyczyną złego stanu interesów ma być zmniejszenie się liczby członków przy zwiększeniu stałych wydatków o sumę 1.200 rb. rocznie, przeznaczoną na utrzymanie i doskonalenie chóru."

— W sekcyi rolnej Muzeum przemysłu i rolnictwa odbył się w tym miesiącu cały szereg posiedzeń, na których w obradach i pogadankach poruszono wiele ciekawych spraw naszego przemysłu i gospodarstwa rolnego. Między innemi odczytano odezwę Tow. hygienicznego o konieczności reformy mieszkań dla służby folwarcznej; zawiadomiono o staraniach delegacyi mleczarskiej, ażeby od nabiału przywożonego na targ zawartość wymaganego przez ekspertyzę tłuszczu podniesioną była z 2-ch do 3% — i o chęci przedsiębiorców angielskich przystąpienia do organizującej się obecnie u nas spółki mleczarskiej. Anglicy całe przedsiębiorstwo pragnęliby wziąć w swe ręce, ale dodatnią stroną tej propozycyi byłaby możność wprowadzenia w przyszłości produktów nabiału polskiego na rynki angielskie, obecnie dla niego zamknięte.

— *Rossija* donosi, że związek pisarzy rosyjskich na ogólnem zebraniu w d. 13 marca jednomyślnie uchwalił wysłać Leonowi hr. Tołstojowi następującą depeszę: „Związek pisarzy rosyjskich, dowiedziawszy się z najwyższą radością o wyzdrowieniu pana z choroby, która pana dotknęła, przesyła gorące pozdrowienie wielkiemu pisarzowi ziemi rosyjskiej i życzy mu jeszcze wielu długich lat życia."

— Według sprawozdania depart. leśnego, przytoczonego w *Warsz. dniew.*, lasy rządowe w gub. Król. Polskiego dały w roku zeszłym czystego dochodu 4,926,195 rbl. Ogólny obszar lasów rządowych w trzech okręgach gub. Król. Pols. wynosi 566,701 dzies., jedna więc dziesięcina średnio dała dochodu *brutto* 10 rbl. 21 kop. W całem Cesarstwie jest lasów rządowych 91,139,159 dz., a dziesięcina średnia daje dochodu 45 kop. Lasy syberyjskie i środkowo-azyatyckie przynoszą skarbowi tylko 6 kop., z dzies., lasy gub., północnych — 7 kop., kaukaskie i w obwodach okolicznych — 29 kop., lasy północno-wschodnie, na górnej Wołdze i nad Kamą — 54 kop. Gdyby lasy w całem Cesarstwie dawały taki dochód, jak gub. Król. Pols., dochód państwa wynosiłby 930,530,713 rbl., a nie, jak dziś, 48,945,565 rbl. „Przytoczone dane liczbowe, absolutne i porównawcze, pisze *Warsz. dniew.* wyjaśniają, jak drogocenną perłę w ogólnej skarbnicy lasów Cesarstwa stanowią lasy kraju nadwiślańskiego. Tak wysoka ich wydajność stwarza obowiązek wzmocnienia starań o zachowywanie i udoskonalenie majątku leśnego, a miarą tych starań jest zwykle wysokość wydatków, które w każdej gospodarce intensywnej znajdują się w normalnym stosunku do dochodów." W lasach pruskich 50% dochodu pochłaniają koszta gospodarki, w gub. Król. Polskiego z powyższego dochodu w r. 1899 tylko 8,4% wydatkowano na koszta gospodarstwa leśnego i administracyi; 91,6% stanowiło czysty zysk skarbu.

Sądy. Sprawa Karpowicza, który dokonał zamachu na życie zmarłego od zadanej rany ministra Bogolepowa, została odroczoną.

Z Finlandyi. Pomocnik generał-gubernatora finlandzkiego, generał-lejtnant Szipow, rozkazał dać ostrzeżenie gazecie *Hufvudstadsbladet* i dziennikowi *Wiborgsbladet*; zawiesić na dwa miesiące wydawnictwo dzienników *Tammerfors Nyheter* i *Borga Nya Tidning*, na trzy miesiące wydawnictwo dziennika *Borgabladet*, na cztery — pisma *Ita Suomen Sanomat*, zamknąć na zawsze czasopismo *Wiipurin Sanomat* i dziennik *Hamälainen*.

Hygiena. Zarząd kolei Nadwiślańskiej, według doniesienia *Warsz. Dniew.*, ma podobno zamiar urządzić na stacyi Sędziszów uzdrowisko dla suchotników; tymczasem dla 10 chorych — dom murowany z 11 pokoi złożony, z wodociągami, wannami i innemi udogodnieniami.

— Zarządzający kliniką w szpitalu św. Ducha w Warszawie wniósł podanie do Rady miejskiej dobr publ. o urządzenie windy w tymże szpitalu, ze względu na niebezpieczeństwo, jakiemu podlegają chorzy przy przenoszeniu do górnej sali.

— Na posiedzeniu wydziału przeciwgruźliczego w Tow. hygienicznem dr. Nencki czytał w zeszłym tygodniu referat o ważności i konieczności dezinfekcyi przeciwgruźliczej. W Szwecyi, Norwegii i Danii nakazuje ją prawo i karze surowo uniknących jej; w innych krajach czuwają nad tem komisye sanitarne. Za najskuteczniejszą i najtańszą formę dezynfekcyi uznano formalinę w stanie

lotnym, gdyż nie niszczy żadnych przedmiotów, jest stosunkowo tania i łatwa do użycia w postaci cegiełek odpowiednio przygotowanych i w płomieniu świecy wydzielających kwasy gazu formalinowego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorowi. W nadesłanych wierszach jest dużo uczucia, jest forma poprawna, ale są także struny już dawno w poezyi zużyte.

P. Prenumeratorowi Nr. 105. Historya tragikomiczna „Diany Vaughan" i djabła Bitru powstała we Francyi za sprawą przebiegłego oszusta literackiego, Leona Taxil, który przez cały szereg lat pracował nad usidleniem naiwnego duchowieństwa. Przedewszystkiem wystąpił z różnemi odkryciami o zbrodniach popełnianych przez loże wolnomularskie, udając b. masona, nawróconego na wiarę kościelną. Gdy w ten sposób opinia katolicka była urobiona, zwołano kongres antymasoński i międzynarodowy, gdzie zapoznano zgromadzenie, w którem brali udział najwyżsi dostojnicy kościelni, kardynałowie i arcybiskupi, z działalnością sekty „djabelskiej." Działalność tę zdradzić miała b. djablica, Diana Vaughan. Sekta ta powstała niedawno, nazywać się miała zakonem palladystów, miała na celu obiór anty-papieża, zostawała pod wodzą masonów Massiniego, Mackaya, Pike'a i Leurmi'ego, a siedlisko miała w Charlston, w Szkocyi. Religia tej sekty ma być oparta na czci Lucypera. W r. 1892 wyszło w Paryżu wielkie, 2000 stron liczące dzieło Bataille'a *Le Diable au XIX siecle*, gdzie autor opowiadał, że przyjęty do zakonu palladystów, podejrzany następnie o zdradę i skazany na powolną śmierć, został uratowany dzięki djablicy Miss Vaughan. Sama ona wreszcie wystąpiła w r. 1894 z dziełem *Mémoires*, w którem opowiedziała historyę swego życia i swojego powrotu na łono kościoła prawowiernego. Oto miała przyjść na świat w r. 1864 jako córka papieża szatańskiego, otrzymała wychowanie „lucyperowe." Jednak od lat najmłodszych zdradzała wybitną przekorność. Nie pomogły namowy „samego" Asmodeusza — miss Vaughan zapałała taką miłością do dziewicy orleańskiej, że ostatecznie zdobyła wiarę prawdziwą. Otóż na kongresie znaleźli się jednak duchowni, którzy wyrazili powątpiewanie o prawdziwości opowiadań, dotyczących djablicy. Taxil, który występował jako jej mandataryusz, musiał się tłomaczyć z zarzutów. Ostatecznie pod wpływem silnej agitacyi dziennikarskiej i protestu oświeconych księży, Diana Vaughan zapowiedziała w prasie, że ukaże się w kwietniu 1897 r. na zgromadzeniu publicznem w Paryżu. Tutaj wobec tłumów duchowieństwa i dziennikarzy ukazała się djablica w osobie — Leona Taxil. Oburzenie nie miało granic. Bliższe szczegóły może pan znaleźć w pracy jezuity Gruber: „Les Taxils Palladismusroman" (Berlin, 18..

— **Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych** w Królestwie Polskiem ma zaszczyt podać do wiadomości, że Zarząd Cesarskich zakładów porcelany i szkła celem opublikowania i przyciągnięcia możliwie większej liczby osób do udziału w konkursie, ustanowionym na wykonanie artystycznych rysunków, podług których mogłyby być wykonywane przedmioty z porcelany i szkła, nadesłał warunki tego konkursu, które są do przejrzenia w kancelaryi Towarzystwa.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Марта 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.